



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

KSIEŻNA IZABELLA.

Ze wszystkich kobiet, które, dzięki urodzeniu i bogactwu, dostały się do górnego zastępu Dzieciściu Tysięcy, najwybitniejszą była u nas w XVIII wieku żona księcia generała Ziem Poldolskich, Adama Kazimierza Czartoryskiego. Wśród wielkich pań ówczesnych księżna Izabella pojęła iżytkowała spóczesne stanowisko arystokratki w najlepszym znaczeniu, w najobszerniejszym zakresie i z największym też pożytkiem. Pani Jabłonowska w Siemiatyczach ograniczyła się tylko do ekonomiki domowej; pani Czartoryska mogła powiedzieć o sobie, że nic z tego, co się w narodzie jej działo, obcem jej nie jest. Oddawała się nawet polityce, ale sercem, ręk do robót żądnych nie przykładła. Taki czyniąc wybór, wzięła dla siebie lepszą część, bo w polityce czynnej łatwiej było wówczas kobiecie o niesławę, niż o uczciwą a rzetelną zasługę. W całej jej działalności przebiega się uszlachetniona przez poczucie węzła z powszechnością kobiecość. Przez tłum lekkich, rozprózniających, rozszalałych, poważna jej postać przedzierną się do pamięci naszej po należne uznanie. Zapewne, nie była księżna Czartoryska ani Kornelią Grachów, ani Chrzanowską; gdyby nie wielkie środki, jakimi rozporządzała, możeby o niej wspomnienie żywsze nie zostało: ale to właśnie, że w sferze, w której żyła, umiała zostawić po sobie pamięć poważniejszych uczuć, dobrych uczynków, podnioslejszej skali życia, nakazuje ją zaliczyć do rzędu dobrze zasłużonych. Przytem w charakterze jej spotykamy rysy tak oryginalne, że gdyby nawet przez działalność swoją i wpływ nazewnątrz nie stanęła była wyżej od

innych, to jeszcze zasługiwałyby na wyróżnienie przez własną swą, do innych niepodobną, indywidualność.

Tonem zasadniczym jej duszy jest jakby dziecięca szczerłość. Nadaje ona w życiu czynnym ogromną przewagę uczuciu nad rozsądkiem; a uczucie to znowu miękkie jest, wpada w sentymentalizm. Umysł zdolny, ale w młodości bardzo słabo wykształcony, wzbogaca się dopiero i rozjaśnia pod działaniem niepospolicie rozumnego, uczzonego, miłującego światło męża i całego otoczenia, bez jakiego człowiek ten żyć nie mógł. Z początku podobna do innych, jętką kilkogodzinną, myśląca tylko o zabawach, przyjemnościach i dziwactwach, kobieta kosmopolityczna owego wieku, około czterdziestego roku życia wytrzeźwia się, przeobraża, tężeje w istotę poważną, sięgającą po wyższe uciechy ducha, nie uważającą świata za salon, a życia za zabawę. Obowiązki macierzyńskie spełnia przykładnie, z gorliwością nietylko o pozory, ale o rzeczywistą moralną wartość przyszłych ludzi, w których się dzieci jej rozwinać mają. Trzydziestoletniemu już synowi daje nauki przezorności i niezbędnej mądrości życia. Uczuciowość jej spleta się dziwnie z trzeźwym poglądem, ze zdolnością krytycznego patrzenia w siebie, w ludzi, we wszystko, co ją otacza. Księżna zna swoje własne i dzieci swoich przywary; żałuje zmarnowanego czasu, ubolewa nad zaniedbanem wykształceniem swoim; wie to, czuje i stwierdza postępowaniem, że majątek nie jest wszystkim, a ród, choćby najwyższy, sam przez się może być chyba tylko źródłem wyższych obowiązków. Ani wysokie stanowisko, ani miliony, ani pochlebstwa nie rozbuździły w niej nigdy złudzenia jakoby z innej była gliny niż czarna rzesza ludzkości. Wprawdzie już w epoce ustalenia się tego charakteru, z jakim do nas przeszła, ulega jeszcze pokusie próżności, ale z niej chce dla dziecka swego, nie dla siebie korzystać. Nawet w chwilach lekkości—

którą oszczerstwo tylko obryzgać mogło — księżna Izabella nie jest nigdy tak zaślepiona, aby poza tym swoim malowanym światem arystokratycznym nie widziała innego, rzeczywistego; tylko że czuć i myśleć wraz z nim i dla niego później dopiero się nauczyła.

Przeszedłszy południe życia, przestała prawie zajmować się sobą. Dobroczynność w jaknajobszerniejszym zakresie czynów niosących dobro w sobie a pożytek nazewnątrz, stała się potrzebą jej duszy. Co pierwiej było zabawą, szlachetniejszą tylko od innych, teraz stało się obowiązkiem gorąco spełnianym. Niewynosząca się nigdy wpośród równych—choć monarchowie nazywali ją swoją kuzynką,—była przystępną dla niższych, a miała prawdziwą, nie cedzoną słówkami sztucznymi, ale głęboko z piersi idącą słodycz dla maluczkich, cierpiących, miazdżonych przez los.

Jako opiekunka młodych istot kobiecych, żyje księżna Izabella w niewygasłych jeszcze podaniach. Przywiązuje się do swoich wychowanek, w złej doli nie opuszcza tych, które poszły już od niej w świat. Dla ludu jest nietylko panią korzystającą z jego potu, ale i opiekunką usiłującą go chronić od krzywdy, nędzy i ciemnoty. Dopóty pracuje nad sobą, uczy się, przygotowuje umysłowo, dopóki się nie stanie pierwszą autorką popularnego podręcznika historycznego. W kilkadziesiąt lat po niej jeszcze pisarze z ustalonymi już nazwiskami z formy przez nią wytworzonej, żywcem korzystają będą. Pomyślała ta wielka pani nawet i o modlitwach dla maluczkich.

Pomimo milionów, od czterdziestego roku życia księżna Izabella nie zna zbytku w strojach: ubiera się najczęściej w czarną suknię, a skromnością i niewyszukanym stylem swego *mise en scène* wywołuje nieraz żarty, nawet oburzenie, w rzetelnych wyznawczyniach i męczennicach mody. Wszyscy jednak szanować muszą „księżnę Izabellę“, jak ją wówczas nazywano, i gdy w salonie warszawskim po r. 1815 ukaże się jej

postać jeszcze nie złamana przez wiek, jej twarz świadcząca o dawnej piękności, wszyscy wbrew etykiecie, — niepozwalającej, jak wiadomo, na objawy uczucia, — z miejsc swoich pierwsi na powitanie powstają.

Uczuciowość jej, jej idealizm, bez którego niema kobiecości w znaczeniu niezmysłowem, z wiekiem siły swej nie traci. Początek stulecia zastaje księżną nad nieustającym ogniem wielkiego wspomnienia, jako strażniczkę pamiętek po tem, co było. Serce jej wówczas już ciężkie przeszło próby: dwa nieszczęścia rodzinne, a po nich cios, nad który większego dla duszy prawej być nie mogło. Odtąd piękne jej rysy ocenił smutek i nie zszedł już z nich aż do śmierci.

Od urodzenia wątła, długi czas trapiąca dolegliwościami fizycznymi, żyje nad własne spodziewanie swoje długo. Ośmdziesięcioletnia już prawie składa do grobu męża, któremu wybaczyc mogła wszystkie zdróżności za to podniesienie duchowe, jakie mu znowu zawdzięczyć musiała. W ośmdziesiątym piątym roku życia znosi jeszcze ostatnią mękę serdeczną: wnuk jej rodzony znęca się nad jej siedzibą, i dla własnej matki litości nie zna. Nie mogło niebo srożej ukarać starości za tę próżność, z której się nam w zwierzeniach swoich tak szczerze spowiada. W trzy lata potem największem osobistem nieszczęściem umiera na rękach tegosamego dziecka, któremu jedna chwila pychy arystokratycznej obojga rodziców życie całe zlamala.

Przez pół wieku o księżnie ubiegały mgliste tylko podania, osnówane na ustnych opowiadaniach i pamiętnikowych wspomnieniach. Tak mało i źle wiedziano o księżnie Izabelli, że Siemieński autorstwo *Pielgrzyma* przypisał jej córce, Maryi Wirtemberskiej. W obozie demokratycznym stronnicza nienawiść do Czartoryskich, w obozie postępowym czułośćkowość postaci zrażały do niej umysły pracujące na polu dawnej oświaty, cywilizacji i obyczajów. Brakło przytem źródeł. Teraz dopiero z bogatego archiwum w Krakowie, p. Dębicki wy dobył mnóstwo wiadomości o całej rodzinie księcia generała i z nich trzynomowe dzieło ułożył. W zbiorze dokumentów znalazł się i szacowny dla biografii, a nawet dla dziejów rzeczy publicznej u nas, własny pamiętnik księżny. Podanie go w wyciągach uznać potrzeba za główną zaletę wydawnictwa; podobnie, jak wydrukowanie wielu dotychczas nieznanych listów, sprawozdań, rozmów, szczegółów z życia wybitniejszych osobistości — bezwarunkowo wzbogaca zasób dotychczasowej wiedzy historycznej. Samo opracowanie danej rodziny i jej epoki w dwóch wydanych już tomach jest nieartystycznym, a siłą rozumu dziejopisarского, sądzącego ludzi i rzeczy — niewielką. Dzieło, jak jest, z zasobów nowych złożone, samo znowu materiałem tylko dla następnych, lepszych już opracowań być może. Sądy p. Dębickiego są jakgdyby niedociągnięte. Taki ich stan może być w znacznej mierze skutkiem zależności korzystającego ze źródła od tego, kto mu do nich dostępu dozwolił. Nie trzeba zapominać, że archiwum, z którego czerpał p. Dębicki, stanowi własność rodzinną, i że rodzina mogła go w korzystaniu z niego ograniczyć. Bez względu na to, że wybaczyć p. Dębickiemu nie można błędów w redakcji, wewnętrznej niezgodności treści — a nadewszystko pewnej galanterii nieprzyzwoitej w literaturze, która jest przecież procesem niepodległej myśli i niepodległego sumienia. Wydawca — autor stara się zawsze być uprzejmym dla owych na czele narodu kroczących Dziesięciu Tysięcy i świadomie fałszuje tło historyczne — jakgdyby nie był historykiem, ale adwokatem broniącym swych klientów.

Postaramy się teraz na podstawie książki p. Dębickiego zarysować obraz zajmującej postaci księżny generałowej.

Izabella Czartoryska, przychodząc na świat w rodzinie Flemingów w r. 1745, miała już w sobie krew Czartoryskich. Ojciec jej Jerzy, pochodzenia cudzoziemskiego, Podskarbi Litewski, uczeniwy podskarbi, ożenił się już jako wdowiec z Antoniną, córką Michała, Kanclerza Wielkiego Litewskiego

a siostrą stryjeczną księcia Adama Kazimierza. Wejście Wojewoda Pomorski stryjowi swemu późniejszymi ministrowi Augusta II: dostał od niego wielki majątek Radziwiłłowski i mógł już sięgnąć po rękę, za którą poszła i fortuna kanclerska. Bartoszewicz pisze, że miał dobrą i w Holandyi, pewno za najpierwszą swą żoną, cudzoziemką. Matki Izabella nie znalazła, bo po dwóch latach pożycia kanclerzówna zmarła. Córka w pamiętniku swoim opowiada dziwny zbieg wydarzeń. Jerzy Fleming, utraciwszy pierwszą żonę, wziął siostrę po siostrze, ale na to tylko, aby ją znowu taksamo utracić; druga Czartoryska zmarła tegosamego dnia i roku (27 Marca) w tym samym nawet wieku życia (22) co i pierwsza. Ojcu daje księżna Izabella świadectwo, którego historia nie potrzebuje przemazywać: „Obrany marszałkiem trybunału na Litwie, zostawił wdzięczną po sobie pamięć. Sprawiedliwość najwygórowańsza, hojność i szlachetność wspaniała, wzbudziła w obywatelach szacunek i wdzięczność. „Zkądinąd wiadomo, że zrosł się ze społeczeństwem, że w województwie swoim, Brzesko-Litewskiem, był bardzo wpływowym i przez całe panowanie Augusta III popierał politykę „Famili” Dziecko chowało się u babki swojej księżniczki Waldstein, Austriaczki, zupełnie obcej narodowi: nie chowało się więc wcale, rosnąc tylko jak liść na drzewie, — w cieplarni arystokratycznej, w której dbano jedynie o nadęte pozory. Dziewczynka widywała ojca najczęściej w Wołczynie, gdzie kanclerzostwo mieli swoją ulubioną rezydencją, gdzie się rodziły i wychowywały młode latroszle Czartoryskich, a gdzie także przyszedł na świat i ponurej pamięci syn Wojewody Mazowieckiego z Konstancji Czartoryskiej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGA WĘDKA

Nie można mieć gorszego pióra i atramentu, niż ja w chwili, gdy to piszę; ale trudno o piękniejszy widok z okna, przy którym mój stolik stoi obecnie...

Gdzie okiem rzucić, niebo jak z wyprężonego atlasu, a w dole morze, jak z fałdowanego jedwabiu; w takiej sukni świat mi się teraz przedstawia; tutaj to nawet nie jego balowa, ale codzienna toaleta; ach, bo to Adryatyk, a nad Adryatykiem królowa morza, Wenecja *la bella*, a w tej Wenecyi siedzi sobie teraz, jak w raj, wasz najszczęśliwszy z kronikarzy i pisze pogawędkę.

Nie wiem nic, co się w Warszawie dzieje, od dziesięciu dni gazet polskich nie widziałem, i przyznam się, że mi tutaj tego jednego brak tylko; za stary numer *Kuryera* jakiegokolwiek dałbym lira, dwa liry, pięć lirów, dzie..., nie, tak dużo nie mogę, z lirami trzeba się oszczędnie obchodzić tutaj, bo drogie; ale oddałbym przez jeden wieczór wszystkie uśmiechy białych i śniadych piękności z Placu św. Marka, a to bardzo wiele, nawet jak na tutejsze kursa.

Przyjeżdżam z Wiednia, bo to najprostsza droga, kiedy się z Krakowa jedzie do Wenecyi, a w Krakowie byłem na wystawie; miałem zaszczyt zameldować o tem waszym eminencyom, czytelniczko i czytelniku!...

Wystawa Krakowska, to przedmiot albo do bardzo szczegółowego sprawozdania, albo do krótkiej wzmianki; zależy od tego, dla kogo się pisze. Warszawskim czytelnikom nie zaimponuje, a przemysłowców i fabrykantów naszych nie nauczy niczego.

Rzecz bardzo prosta; pod względem przemysłowego rozwoju i ruchu Galicya nie stoi jeszcze na równi z Królestwem, i dlatego to wrażenie, jakie warszawski kronikarz i sprawozdawca wynosi z krajowej wystawy w Krakowie, musi być względne. Nie zachwyci się, bo widział na Placu Ujazdowskim, w Muzeum techniczno-przemysłowym i w Pomarańczarni pojedyncze działy owele świetnie reprezentowane a pokaźniej na oko

urządzone; ale zadziwi się przyjemnie, znając galicyjskie stosunki, że mimo wszystkie przeciwności i ciężkie warunki rozwoju, ta Galicya, osławiona, oczerniona, lekceważona pod względem gospodarki swojej, zdobyła się już na taki przemysł i rękodzielnicstwo.

Nie jest to może rezultat należyty; możnaby wymagać więcej i spodziewać się jeszcze czegoś innego: jednak i tak zrobiono już bardzo wiele, a jeśli nie dało się zrobić więcej, to dlatego, że nie można było w danych warunkach.

Wobec ciężarów podatkowych, wobec konkurencji z zagranicą, wobec walki przemysłowej z niemieczyzną z żywiołami obcemi, które sobie znaleźć umięją protekcją i przywilej, wobec braku gotówki i pewnych słabych stron przedsiębiorczości galicyjskiej, — trzeba i tak podziwiać te rezultaty, jakie wystawa przedstawiła.

Niestety, trzeba też pamiętać, że wystawa odbyła się w Krakowie, gdzie, gdyby Pan Bóg zechciał drugi świat tworzyć, nie mógłby tego zrobić póty w spokoju, dopóki bysiarzystym deszczem nie wygubił najprzód Stańczyków, albo ich przeciwników.

Koteryjność i parcjalność są dwoma największymi grzybami, jakimi porastają mury Krakowa; wszystko się tutaj tą pleśnią brzydką pokrywa. Ja nie mówię, aby ten pasożyt był wyłączną specjalnością Krakusowego Grodu, ale najbujniej w nim się rozplenia.

— Wystawa jest stańczykowską! — powiadał mi z oburzeniem jeden z gorętszych — nie mogła się dobrze udać; jest gorszą od lwowskiej z przed lat dziesięciu, gorszą od prowincjonalnej przemyskiej i stanisławowskiej. Urządzili ją niepotrzebnie; nikt nie chciał tej wystawy teraz; zrobili *fiasco*, nie wyleżą z deficytu.

— A ja myślałem, że wystawa jest krajową, nie stańczykowską — wtrąciłem z pewnym naciśnięciem na ten najważniejszy jej charakter.

— No, jest krajową, ale Stańczycy ją zrobili!

— To i co?... niech robi, kto chce, byle robił dobrze.

— Oto właśnie chodzi, żeby robił dobrze, ale wystawa nie jest dobrze zrobiona.

— Dlaczegoż inni nie pomagali, aby zrobić lepiej?

— Panie, pan myślisz, że oni kogo dopuszczają z przeciwnego obozu? — to się pan grubo mylisz. Oni tylko samych swoich protegują. Trzeba się do nich wpisać, aby coś znaczyć!

— W takim razie, nie trzeba przeszkadzać, jeśli chodzi o dobro kraju, bo gorsza jest przecież rzecz zepsuta wspólnie, niż mniej dobra, zrobiona przez jedno tylko stronnictwo.

Dyskutowaliśmy jeszcze długo w ten sposób i jeden drugiego nie mógł przekonać.

Stańczycy znów uważają, że wystawa jest świetna, że nie mogła się w dzisiejszych czasach i warunkach nigdzie a nigdzie udać lepiej, że gdyby nie postępowcy, byłaby jeszcze świetniejszą, ale, mimo to, niczego więcej wymagać nie można.

Tymczasem prawda leży w pośrodku: Wystawa Krakowska nie jest ani tak złą, jak twierdzą jej lni, ani tak świetną, jak w siebie wmawiają drudzy. Działy jedne są lepiej reprezentowane, drugie gorzej; przemysł ma szczegóły zajmujące i wybitniejsze, w całości zaś nie daje należytego pojęcia o wszystkich gałęziach ekonomicznego rozwoju dzisiejszej Galicyi.

Są tu braki, są luki niezapelnione.

Kraj lesisty, rolniczy, nie ma na wystawie okazów, dających wyobrażenie o kulturze rolniczej i leśnej; a w przeciwieństwie z tem podobno świetnie przedstawiał się dział bydła.

Wielki przemysł fabryczny, jak maszyny np., głównie reprezentowany był przez obce firmy poza konkursem.

Duże majątki Potockich, Dzieduszyckich, Sanguszków, Sapiehów rzuciły się w oczy, jakgdyby Galicya była krajem samych magnatów i karmazynów, a reszta ziemiaństwa, albo nikła zupełnie, albo nie była wcale reprezentowana.

Najbardziej zajmującym i najkompletniejszym w możliwych granicach był dział etnograficzny, i dział przemysłu ludowego. Tu można było wie-

le nauczyć się i skorzystać. Prywatne muzea dostarczyły mnóstwa cennych okazów, a przemysłowe szkoły i zakłady przedstawiły zadziwiające wyroby rękodzielnicstwa ludowego w dziale rzeźbiarstwa, garncarstwa, tkactwa i koronkarstwa. W tych próbkach leży zadek przyszłości i dobrobytu szerszych warstw społecznych, dowód zdolności, smaku, inwencji oryginalnej ludu, który na nowym polu pracy i zajęć znaleźć może zarobek łatwiejszy i przyczynić się do podniesienia krajowego przemysłu.

Największą organiczną wadą wystawy jest chaotyczność, wśród której niczego odszukać, niczego porównać z sobą niepodobna; ustawiało się w głównym pawilonie zwłaszcza, wszystko na kupę, gdzie się zmieściło.

W katalogu za to było wszystko w porządku podzielone na grupy, ponumerowane pięknie, wyliczone, ale z katalogiem w rękę można było chodzić po tym labiryncie, jak ślepiec z latarką, i nie trafić do najciekawszych okazów, reklamowanych w katalogu.

Przeszło osmiuset wystawców nadesłało swoje okazy; nie obliczono się należycie z miejscem i potem musiano skąpić, ścieśniać się, tłoczyć, rugować jednych, a wstawiać drugich, przyczem powstała mieszanina i bigos najrozmaitszy, a niezadowolonia, obrazy, pretensyi bez liku.

Warszawscy przemysłowcy, jak powiedziałem, nie byliby się mogli dużo nauczyć z okazów i wyrobów galicyjskich, ale mogliby się przekonać, iż jakiś przyjaźniejszy i wytrwalszy duch asocjacji panuje za sąsiedzką ścianą; u nas upada jedna spółka za drugą, rozwiązują się zbiorowe przedsiębiorstwa, oparte na najbardziej racjonalnych w zasadzie podstawach, a w tej Galicyi jakoś sobie radzą i istnieją, w coraz liczniejsze wiążąc się grupy. Tu tkacze, tam ślusarze, ówdzie kuśnierze, szewcy i t. p., zakładają spółki, i nie źle na tem wychodzą.

W Warszawie, nietylko rozwiązują się takie już istniejące stowarzyszenia i przedsiębiorstwa, po krótszej lub dłuższej praktyce, ale kończą swój byt przed urodzeniem gotowe zupełnie w projekcie spółki, jak np. mleczarska.

Przypomniała mi się ona na widok serów, które wystawiła w Krakowie pierwsza w Galicyi spółka mleczarska, założona przez okolicznych obywateli z Rzeszowskiego; miesięczny dowóz mleka wynosi około 60,000 litrów, z których połowę przerabia się na sery, rozsyłane do handlów w kraju i zagranicą.

Perłą wystawy, nie na Błoniach za miastem, ale w Sukiennicach, na rynku, jest dział sztuki polskiej i starożytności. Tu niema dwóch zdań co do powodzenia.

Wystawa sztuki udała się wybornie pod względem ilości i jakości; urządzono ją z wielkim smakiem, co już jest wyłączną zasługą p. Zygmunta Cieszkowskiego, vice-prezesa tej wystawy i kilku artystów, pomagających mu sumiennie.

Po tych Sukiennicach chodzi się teraz, jak po europejskiej galerii pierwszego rzędu; wspaniałe gobeliny i makaty zdobią ściany, setki obrazów, rysunków, projektów architektonicznych, rzeźb pociągają wzrok z każdej strony; nie chce się oczom własnym wierzyć, że to wszystko swoje, polskie, że ta sztuka na wspólnym *rendez-vous* tak dobrze wygląda i że nie potrzebowałyby się powstydzic zagranicznych rywali dzisiaj.

Wszystkie najświetniejsze nazwiska są reprezentowane na liście wystawców, z Matejką, Siemiradzkim i Brandtem na czele, nie brak tu chyba ani jednego wybitniejszego talentu z młodszych, z wyjątkiem Pruszkowskiego Witolda, który nie dał na wystawę, bo mu się dać nie chciało.

Mam tu w Wenecyi przeciw ogromną wystawę sztuki włoskiej przed oczyma, dla której głównie przyjechałem; wiem, ile kosztowała pieniędzy, zachodu, starań i czasu: a jednak w tych dwudziestu kilku salach, zapchanych, poprostu, obrazami i rzeźbami, nie mogę zatrzeć i zgubić wrażenia krakowskiej galerii polskiej, nietylko przez jakiś szowinizm estetyczny—i wynoszę przekonanie, żeśmy już wcale nie jacy-tacy w szrankach europejskiej sztuki i że gdyby tutaj dostawiono jeszcze jeden pawilon przy wspa-

niałym pałacu w *Giardino publico*, a w nim pomieszczono te tylko zbiory, które dzisiaj znajdują się w Sukiennicach, kto wie, czy nie byłby to jeden z najładniejszych i najciekawszych salonów *della Esposizione artistica*.

Co u nas tych talentów rośnie, jak grzybów po deszczu!... a jeśli geniuszów między nimi niema, to pociesmy się, że i u innych geniuszami dziś płotów nie grodzą.

Widziałem w przejeździe wystawę wiedeńskiego *Kunstvereinu* i nic na niej nie znalazłem uwagi godnego; ale wśród Niemców wyróżniali się jednak dwaj Polacy, p.p. Ustyanowicz i Gędłek, z których pierwszy ogromnego Mojżesza na górze Sinai, a drugi wdzięczne dwa obrazki *à la Brandt* i Kossak wystawił.

Dużo wrzawy, irytacji i zgorszenia wywołał w światku artystycznym katalog „pierwszej ogólnej wystawy sztuki polskiej”, napisany w formie krytycznego przeglądu przez kilku artystów malarzy i rzeźbiarzy pod redakcją p. Stanisława Tomkiewicza. Młódź artystyczna porwała się nawet na weteranów sztuki i chcąc pokazać, jak się powinno krytykować, we czterech krzyżową sztuką opalała wszystkich i wszystko. Kwardecik ten wyprawił istną kocią muzykę wystawie i naszym malarzom, nie oszczędzając nikogo; dość powiedzieć, że zdaniem sprzymierzonych krytyków Brandt np. nie umie poprawnie rysować, Siemiradzki ma w technice wiele „znakomitszych rzeczy, ale wiele także akademickiej ledwie rutyny i pracy!; Matejce chciano powiedzieć komplement, ale zrobiono to tak niezręcznie, że wyszło na naganę. „Takimi trwałymi obrazami—pisze p. St. Tomkiewicz, główny redaktor tego krytycznego pamfletu—zostaną dwa wielkie obrazy Matejki, znajdujące się na wystawie (Hołd pruski i Wernyhora), choć nie są najlepsze i choć wszystkie zgromadzić-by (!) „ale” i braki, nie ujmą ore temu, co jest, bo są wielkie „braki”, ale i to, co jest, jest zbyt potężne.”

Ja nie chcę się sprzeciwić oto, czy panowie Tomkiewicz, Bieszczad, Lewandowski i Stasiak, którzy ten „dokładny przegląd krytyczny” wydali, są najlepszymi znawcami sztuki w całej Europie i najsumienniejszymi krytykami u nas; ale śmiem wątpić, czy umieją pisać tak wprawnie, jak wprawnie malują i rzeźbią. Pióro wyplatało im figla, ale to nic; można być nieraz w niezgodzie z gramatyką, a mimo wszystko znać się na malowaniu; tylko kiedy się i źle pisze i nie szczególnie zna na sztuce, to cóż robić w takim razie?... w takim razie można jeszcze w Krakowie wydać rozumowany „Przegląd krytyczny” o pierwszej wystawie polskiej.

Włoscy artyści zpowodu wystawy w Wenecyi zrobili coś podobnego, tylko zamiast katalogu urządzili satyryczną wystawę drugą, nazwaną: *Indisposizione artistica*, na której pomieścili bardzo dowcipne przedrwiwanie pewnych rodzajów i kierunków dzisiejszego malarstwa we Włoszech, karykatury sędziów konkursowych i cały szereg humorystycznych tematów, opracowanych niekiedy z prawdziwą maestryą pędzla i oryginalnością pomysłu.

Quis.

WYCHOWANIE.

(Dokńczenie).

Jakkolwiek Ludwika Egerton uważa takie fizyczne wychowanie dziecka, które czyniłoby je silnym i na trudy wytrzymałym, za jeden z pierwszych warunków ułatwienia mu przyszłej drogi życia, nie jest przecież szczególną zwolenniczką „łamanych sztuk”—gimnastyki, zwłaszcza dla dziewcząt. Jest to sztuczne zastępowanie tego, co proste i dobrze prowadzone wychowanie daje naturalnie. Niech dzieci nie będą obsługiwane przez starszych: niech codziennie odzież swoją same czyszczą, pochoje sprzątaj, niech używają o każdej porze roku dość swobodnego ruchu na świeżem powie-

trzu, niech dużo chodzą pieszo, skaczą, huśtają się wesoło, niech same kopią ziemię w ogrodach, jeżeli, mieszkając na wsi, mieć je mogą, niech pływają, kąpią się w wodzie zimnej, jeżdżą konno, lub na welocypedach: a siła mięśni będzie się rozwijać, prawidłowy obieg krwi da im dobry sen i apetyt. Dziecko zdrowe ani kapryśne, ani wybredne nie będzie, jeżeli nie zepsują go i nie rozgrymaszą; dlatego też w pierwszych latach wychowania już się o tem pamiętać powinno i wiedzieć, że dziecko zaczyna pewnych nawyków już wtedy nabywać.

Twarde spanie na prostym sienniku, nie przyzwyczajanie do łakotek i kuchni wybrednej, kładzie autorka między najważniejsze przepisy higieniczno-wychowawcze, bo mają one swoją stronę i oddziaływać moralnych. „Kto nawyknie zbyt rychłych nie ma, kto sobie niemi organizmu fizycznego słabowicie nie rozpieści i nie nabierze upodobań do używania, jakie dają, jest dopiero człowiekiem moralnie wolnym” — pisze i dowodzi, że niemal połowa win i upadków jest związana ze stanem niemal nieczytelnym moralnej, do której się dochodzi przez złe nawyki, wcześniej szczone: przez wychowanie rozmiękczonego ciała, i trujące ducha zamiłowania wykintu, który potęguje się coraz w społeczeństwach nowożytnych przez wygórowany rozkwit cywilizacji materialnej.

Strojom dzieci poświęca autorka ustęp długi: psują one wtedy nawet, gdy dziecko należy do rodziny najbogatszej, bo szczepia próżność, niebezpieczną zwłaszcza u dziewcząt, gdyż łączy się z zalotnością, z chęcią zwracania na siebie uwagi, co też spełnia się zwykle na dzieciach wytwornie strojnych. Obracają się za nimi oczy ludzkie, a że każde niemal dziecko, zwłaszcza wychowane nieco staranniej, posiada pewien wdzięk naturalny, więc chwali się głośno te, mniej więcej ładne, miniaturowe sukienki: chwali się ich elegancie sukienki i sieje najgorsze ziarna próżności, i nie próżności tylko.

Dziecko każde, szczególnie z rodziny średnio zamożnej, wie, że ładne suknie drogo kosztują, więc zaczyna już ze względów rozbudza: jącej się próżności uważać majątek za rzecz pożądaną i szczęście dającą, zaczyna cenić pieniądze wyżej, niż należy i ze strony najgorszej zadawania małodusznych ambicyi. Odbija się to później w życiu, bo kielki takich pojęć, gdy się raz w duszy przyjmą, już nie usychają nigdy, jeżeli ich ręka rozumnego wychowawcy z korzeniem nie wyrwie. Próżność i żądza lichych wyższości rośnie wraz z dzieckiem i, stopniowo się posuwając, zadowolenia sobie szuka, a gdy go znaleźć nie może, odbiera szczęście i ruinuje charakter przez najgorszy ferment rozkładu, przez zazdrosne pożądania rzeczy nieposiadanych. Jeżeli złoty wiek życia—lata dziecinne już się swojej rajskiej swobody, niewiadomości złych i ciężkich warunków istnienia z tego względu pozbęda; jeżeli do czary materialnych pragnień, pragnień samolubnych młode usta raz się już przyłożą: to szlachetniejsze chęci i marzenia ambicyi wyższych, dróg życia górniejszych zanikają, moralna istota dziecka poniża się, i nawet zatracca w sobie pewne zdolności, potrzebujące polotów myśli szerszych i od swojego *ja* oderwanych. Historia pokazuje, że są epoki heroiczne, epoki wielkich czynów i wielkich ludzi — epoki poezyi i dążeń wzniosłych, tak, jak są czasy, w których nietylko chęci, ale i talenta w pewnych kierunkach zniżają się i maleją.

Trzeba gruntu, na którymby wyrosnąć mogły te wysokopienne pędy ducha: w piersi ciasnej, w piersi „na miarę krawca a nie Fidyasza” być ich nie może.

Autorka czyni tu uwagę, że z dwóch próżności: rodowej i majątkowej, pierwsza już jest lepszą, mniej w moralnych swych wpływach poniżającą, bo opiera się na szlachetniejszym pierwiastku dumy z przodków sławnych, którzy w służbie narodu do dostojności wyższych doszli i wybitniejsza miejsca wśród społeczności swej zajmowali. Ale z mienia posiadanego się pysznić, w pieniądzech widzieć tytuł godności, to już nędzca ducha i uczenie cielca złotego!

U ludzi, w ten sposób próżnych, w ten sposób am-

bitnych wyrabia się miłość grosza, wiodąca za sobą skąpstwo i twardość serca, brak ofiarności w kierunkach ogólnego dobra i miłości bliźniego. Ludzie tacy tylko przez próżność, przez chęć popisu z możności swojej do takiej ofiarności przystępują i wtedy rzucają złoto z góry, aby dźwięk był jak najgłośniejszy. Dary takie są też bez żadnej zasługi moralnej—„miedź bręcząca”, którą się dusze nie wykupują z win, jakie zwykle towarzyszą ukochaniu pieniędzy.

Strzedz w wychowaniu, aby się takie uczucia w piersi dziecka nie rozgościły, jest zadaniem matek szczególnie, bo od nich głównie zależą pierwsze wpływy wychowawcze, z urządzenia stosunków domowych wynikające. Niepogardzenie ubogim dlatego, że ubogi; nielekceważenie w kołach rodzinnych i towarzyskich ludzi mniej zamożnych, mniej strojnych, mniej wybitne stanowisko w świecie posiadających; nieplaszczenie się przed bogaczami, nieprzecenia nie przyjaznych z nimi stosunków, niechlebnie się z nich, jak z czegoś, co nam zaszczyt przynosi: to jeden z najważniejszych środków nierozbudzenia w dzieciach lichy próżności i zarazem miłości złota. Miękką jest natura dziecka, odbierane wrażenia odciskają się na jego uczuciu, na jego umyśle, z siłą, o której nie każdy wie, bo nie każdy zastanawia się nad tem, co to jest ta świeżość, ta wrażliwość młodości, stanowiąca przecież zdolność wykształcalności, która jest gruntem wychowania.

Tu względ na dobro jest złączony ze względem na szczęście. Zatrucie dziecko pożądliwością majątku—jest to dać mu palącą gorączkę, której zasyćenie potrzebuje wysiłków ciągłych, ofiar wielkich, obierających prawie zawsze ze szlachetniejszych, wyższych ducha przymiotów i cnót, jakie jedną nam zasługę przed Bogiem i ludźmi. Czy zaś majątek i jego dogodności opłacić mogą te braki?

Autorka odpowiada,—nie... bo używanie materialne ma to do siebie, że nigdy całkowicie człowieka nie nasyci. Używanie to powszednie nam prędko i przez przyzwyczajenie smak swój utraci, przestaje cieszyć i uszczęśliwiać; lecz unieszczęśliwia i dręczy ciężko jego brak, jeżeli nagle odebrano nam ono zostanie, i to czyni pewnych bogaczy niewolnikami nawyknień, które same w sobie nie mają mocy uszczęśliwiającej, zapełniającej życie—nie posiadają tego, co jest przecież niezbędnem dla ludzi, tak bogatych, jak ubogich.

Że do cnoty potrzebną jest jakaś odrobina szczęścia, jakieś jego ziarenko gorczyczne, powiedzianem było kiedyś w piśmie naszym, i autorka schodzi się z tem przekonaniem. Łuk ciągle wyprężony pęka i aby życie, poświęcone uczciwie pełnieniu obowiązków i pracy, czy na chleb, czy dla celów społecznych i pomyślności swego kraju, nie zaciężyło zbyt ciężko na istocie naszej, trzeba mu pewnej okraszy, umilającej trudy, ponoszone w imię dobra i powinności. Wychowanie, które jest przygotowaniem do życia, powinno o tem pamiętać i uposażyć wychowywane dziecko w pewne zdolności, aby przez nie następnie człowiek mógł używać tych przyjemności wyższych, które nie ulegają już wpływowi, rozkładającym je przez własną ich próżnią wewnętrzną. Rozbudzenie umysłu w kierunkach, otwierających myśli szersze horyzonty wiedzy, szersze horyzonty interesów ludzkości, od powszedniej praktyki życia oderwanych, służy do tego—służą do tego zamiłowania artystyczne: sztuka, literatura. Stworzyć w dziecku, a raczej wyprowadzić z jego głębi, możność używania takich rozkoszy, dostarczanych przez zajęcia naukowe lub piękno estetyczne,—jest to ubogacić je w zdolność uszczęśliwiania się szlachetnego i uszlachetniającego.

Kto nie umie bawić się dobrze, zanie, czysto, bawić się będzie źle, nisko, lichy—bawić się będzie przez używanie wrażeń, które, przytępiając się, sprowadzają przesyt. Autorka żąda od wychowawców, aby już w dziecku obdarzyli przyszłego człowieka podnoszącą i pod pewnym względem uszczęśliwiającą władzą bawienia się dobrze. Gdzie jest brak odczucia sztuki, gdzie umysł mniej jest skłonny do zajęć literackich, tam dobrze jest zastąpić to przyjemnościami

sportu. Igrzyska Olimpijskie łączyły oba te kierunki: flecista grał, poeta, złożywszy ofiarę Muzom, śpiewał pieśń ze słodkim wtórzeniem liry, gdy siłacze pasowali się ze sobą, gonili do celu pieszo, lub na kołach wozów wysokich. Obudwóch tych kierunków należy, oile można, w wychowaniu nie zaniedbywać—dodaje autorka i powtarza: „Mens sana in corpore sano?”

Do ważnych zadań wychowania zalicza ona uczynienie z dziecka istoty towarzyskiej, co przecież nie daje się otrzymać przez samą układność form, w obyczaju światowym przyjętych. Ogląda towarzyska należy niewątpliwie do dobrego wychowania i toruje drogę życia, zwłaszcza w pewnych sferach społecznych, gdzie się do tego wielka, nieraz nawet za wielką, wagę przykładają. Gdy przecież umysł i serce płytkoimi nie są, stosowanie się do zwyczajów salonowych o tyle, aby w błahość nie wpaść, jest czemś podobnym do uniformu, który w pewnych okolicznościach dlatego na siebie wdziemy, że jest to rzeczą ogólnie przyjętą. Ale towarzyskość to jeszcze nie suknia, dobrze i w odpowiedni sposób włożona, nie uklon dostateczne zręczny, nawet nie rozmowa tak, a nie inaczej prowadzona. Towarzyskość—to pewne usposobienie dla ogółu ludzi życzliwe, pewna dla nich przychylność, mająca w sobie jakąś cząstkę tej cnoty, która się miłością bliźniego nazywa i do obowiązków naszych należy. Jest to coś, co nam dla każdego człowieka nakazuje uprzejmość, i jest skłonnością sprawiającą, że ręka nasza wyciągnie się mimowolnie i jakgdyby instynktownie, gdy widzimy, że ktoś się poślizgnął i upaść może. Towarzyskość nie jest płochą chęcią nieustannej zabawy, pragnieniem biesiadnych rozrywek odwiedzin i gości, ale zdolnością, która w obcowaniu z ludźmi jakimś ciepłem się zaznacza i ciepło podobne z sercem im wywołuje. Umysł ma w tem udział znaczny: potrzeba wymiany myśli ludzi do ludzi zblizła, a następnie przychodzi obudzona sympatya uczucia, rodząca przyjaźń. Człowiek, któryby nigdy przyjaźni dla nikogo nie uczuł, i przyjaciela nigdy nie miał, przyjaciela nigdy nie potrzebował, byłby człowiekiem niepełnym i zimnym egoistą. Do przyjaźni, do przywiązania się sercem ludzkich do siebie, potrzebną jest harmonia uczuć, i to w stopniu nawet wyższym, niż równość umysłowa; dlatego mogą istnieć szczęśliwe związki życzliwości między ludźmi nie współmiernej siły rozumu, ale równej sobie uczuciowości, i gdy tak nie jest, gdy przez przypadek, przez zbieg okoliczności, serca, nieodpowiadające sobie przez siłę uczucia, zwiążą się w sojusz przyjaźni, czy miłości, omyłka to, o którą się szczęście jednej strony rozbija i druzgocze w kawałki.

Wychowanie powinno dziecko do towarzyskości urabiać i nigdy młodego serca nie godzi się zatrwać pesymistycznymi na ludzkość poglądami. Do ważnych zadań wychowawczych to należy, aby w tem sercu szacunek dla człowieka, dla natury ludzkiej rozbudzić, co znaczy ciepłem miłości bliźniego je ogrzewać i razem przeznaczenia ludzkiego, ludzkich zadań i obowiązków sztandar wysoko podnosić, a jest to i będzie zawsze najlepszą szkołą moralności. Dziecko nauczy się wtedy godność ludzką w sobie szanować i o szacunek współtowarzyszów życia dbać, co, zwłaszcza wśród zapędów młodości, wśród burzących się jej namiętności, ma znaczenie niezmiernie. Hamulec to jest wielki—większy, niż wszelkie pojedyncze powagi rodziców, nauczycieli. „Trzeba, aby młoda istota ludzka, mówiąc: *Homo sum!* nie widziała w tem rozgrzeszenia dla słabości, ale, przeciwnie, tytuł do wysokiej godności i obowiązek szlachetnego kroczenia przez życie”—pisze Ludwika Egerton i dodaje:

„Jaki sąd rodziców o ludziach dziecko słyszy, taki sobie według tego obraz życia wytwarza, i swój ideał przyszłości na tem tle umieszcza. Niech nie będzie zatruty niewiarą i nieufnością; bo to najszlachetniejsze strony charakteru psuje, ziębi i nadziejom, w sercu noszonem niższy poziom wyznacza, a razem musi być szkodą i niedoborem tak dla szczęścia, jak i dla dobra młodej istoty.”

Jak u początku książki, przy wyborze środków wychowawczych, wychowawczych kierunków, nakazuje autorka z usposobieniami, zdolnościami—

z indywidualnością dziecka się liczyć i nie łamać jej według jakiegoś wzoru upragnionej dla nas doskonałości, ale dopomagać tylko do rozwoju skłonności i naturalnych dziecka obdarowań, zatlumiając także ze względem podobnym to, co się ujemnością charakteru jego wykazuje—tak z kolei ostrzega rodziców przed despotyzmem w nakłanianiu podrastającej młodzieży do pewnych, z góry dla niej obranych zawodów. Jest to dziecko w jego przyszłości krzywdzić i zarazem brać na siebie odpowiedzialność większą, niż się to komuśkolwiek godzi. Jak niegdyś Voltaire pokazywał damom królewskiego dworu, że w całym Parku Wersalskim nie ma dwóch liści zupełnie do siebie podobnych, tak trudno znaleźć takie dwie istoty ludzkie, któreby były wiernym duchów swoich odbiciem. Doświadczenie rodziców ma względem przyszłości dzieci prawo i obowiązek dobrej rady, ale nie powiada arbitralnej władzy rozrządania tą przyszłością. Autorka zakończy też rzecz, powołując się na zdanie Milla: „Zamiłowanie swego zawodu—to niezaprzeczenie najżywotniejszy warunek ludzkiego szczęścia.”

M. Iwnicka.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

II. Na zaświeciu.

Najmilszą rezydencją nieboszczyka Odonieckiego było ustronne Zarucze; stary dwór, schowany pomiędzy drzewami na małym wzgórku, nie miał zewnątrz wiele obiecującej powierzchowności; można go było minąć, jadąc drogą pod lasem i nie zwrócić wcale uwagi.

Zakrywały go w lecie zielone gałęzie, bluszcze porozpinane, kępy gęsto sadzonych drzew, długa, lipowa aleja, przez którą zajeżdżało się dawniej przed staroświecki gauek, zamknięty po przebudowaniu dworu, odkiedy główne wejście przeniesiono na przeciwną stronę, od dużego ogrodu.

Za to wewnątrz można panie nie szczędził niczego, aby sobie uprzyjemnić wygodną samotnię, do której zjeżdżał kilka razy do roku, gdy go znużyły podróże po świecie i obcowanie z ludźmi.

Lubił tu odpoczywać i całymi tygodniami nie ruszał się z Zarucza, gdzie nie przyjmował nikogo, wizyt nie oddawał, nie był prawie widzialnym i obcował sam z sobą tylko i z naturą.

Wiedziano o tem w sąsiedztwie, że pobyt pana Odonieckiego w tem ustroniu znaczny był, co odgradzenie się od świata zupełnie. Najlepszy przyjaciel, najważniejszy interessant zastawał tu wrota zamknięte; dziedzic Zarucza nie przyjmował wtedy nikogo.

Powiadano wówczas zwykle:

— Odoniecki dostał znowu swego bzika, bo siedzi w Zaruczu, jak lis w norze.

Po śmierci męża pani Zofia obrała sobie ze wszystkich rozporządalnych majątków na wdowie mieszkanie ten właśnie najbardziej zapadły i oddalony kąt, w którym i ona najlepiej lubiła przebywać, nie przez jakąś dziwną mizantropią, ale, że i położenie samo, i całe urządzenie domu najbardziej jej dogadzało.

Była tu, jakby na wyspie odgraniczonej od całego świata. Cisza i spokój wiejskiej samotni dobroczynny wpływ wywierały na jej umysł; nigdzie tak, jak tutaj, nie doświadczała prawdy słów, które nieboszczyk mąż jej kazał nad brzoźwą zamieścić altanę, schowaną wśród gęstwiny w głębi ogrodu: „Dalej od ludzi, bliżej Boga.”

W altanie tej wisił oryginalny indyjski hamak, w którym najczęściej pani Zofia z książką w rękę spędzała poobiednie godziny; dochodziło

się tutaj przez zacienione aleje starodrzewia, ścieżką gracowaną pilnie przez dwóch ogrodników, wychowywanych we dworze od dzieciństwa.

Zarucze bowiem miało swoje oryginalne urządzenie; od niepamiętnych lat istniał we dworze kosztem dziedzica utrzymywany przytułek dla sierot wiejskich, rodzaj ochronki, w której prawie zawsze znaleźć można było kilkoro dzieci pod opieką osobnej ochmistrzyni. Chłopców, gdy dorastali, oddawano na folwark, uczono rzemiosła, lub przeznaczano do posługi ogrodnika, który ich musiał kształcić na pomocników swoich, przechodzić z nimi praktyczny kurs ogrodnictwa, obznajamiać ich z sadzeniem i szczepieniem drzew, posyłać do pasieki i czuwać nad tem, by się nauczyli pożytecznie pracować.

Dziewczęta miały również osobny nadzór; każda do lat szesnastu musiała umieć czytać, pisać jakotako, szyć, prać, gotować, uczyć się robót ręcznych, zajmować się mniejszymi dziećmi, a na wypadek wyjścia za mąż dostawała z łaski dziedzica wyprawę i nierzadko jakiś posazek w gotówce.

Rozumie się, iż pani Zofia zawiązki tych instytucji filantropijno-społecznych w Zaruczu rozwinęła jeszcze bardziej, gdy po śmierci męża objęła główny ster wszystkiego. Nieboszczyk traktował to, jako swoje dziwactwo, przepisywał osobny regulamin dla swoich wychowanców, zajmował się tem, jak fantazją, zabawką, która mu podczas pobytu w Zaruczu skracala chwile samotności. Nazywał ochronkę swoją „akademią zaruczańską”; obok niej zaś utrzymywał istny zwierzyńiec, w którym hodował z równą troskliwością, jak wiejskie sieroty, wszelkiego rodzaju oswojoną faunę. Gołębie, synogarlice, bociany, pawie, białe myszy, wydry, króliki, uczone szpaki, nawet niedźwiadek obłaskawiony, para młodych wilczków i cała kolekcja papug w towarzystwie małpy na łańcuszku—wszystko to zajmowało osobną dzielnicę w zaruczańskim dworze, słynnym z oryginalności.

Wszystko to po śmierci męża pani Zofia zachowała w tymsamym stanie; nie pozwoliła usunąć ani jednej klatki, ani jednego pensyonarza; utrzymała w całości tę drugą ochronę zwierzęcą, w której każda „sierotka”, jak mawiał nieboszczyk Odoniecki, miała swoją historią. Bocian np. kulawy sam się znęcił do dworu i, gdy go wyleczono, pozostał wiernym i wdzięcznym za gościnę, nie okazując nawet wielkiej ochoty do odlotu jesienią. Dwa razy na stalowej obroży przyniósł odpowiedź, gdzie zimę spędzał; jako turysta w wysokim był poważaniu wśród zaruczańskich rzeszy. Niedźwiadek przywieziono panu Odonieckiemu aż zpod Witebska na żądanie, po wielkich łowach, na których udało mu się zabić samicę w chwili, gdy się rzuciła na jednego z myśliwych i miała go wziąć w swoje śmiertelne uściski.

— Zakasowałem księdza Robaka!—mawiał nieboszczyk, opowiadając ten epizod z polowania. Pozostała „sierotkę“ żywcem ujęto i przywieziono do Zarucza.

Papugi mówiły wszystkimi językami, udawały do złudzenia płacz i śmiechy niemowląt, przychodziły na zawołanie z klatki i sprawiały dużo krzyku, ale i dużo przyjemności dziwakowi, który się lubował w kontrastach i raz nie mógł znieść szmeru muchy nad głową, a drugi raz pozwalał wrzeszczyć sześciu papugom nad samymi uszami.

W zimie pobyt we dworze zaruczańskim wymagał wielkiego zaparcia się i poświęcenia; kiedy śnieg zawałił drogi i przerwał komunikację, cały dwór obtulony zaspami stawał się raczej podobnym do dużej chaty eskimosów, niż do rezydencji magnata polskiego. Wewnątrz gorzał wówczas na kominkach nieustanny ogień, ciepłe kotary osłaniały każde okno, drzwi; przez szyby zamarznęte światła Bożego nie było widać, tylko białe odbłask śnieżnego całunu bił do wnętrza pokoiów.

Smutno też, cicho i głucho było wtedy, jak pod śmiertelnym całunem, w Zaruczu; nocami wiatry wyły po lesie i tłukły o okiennice, jakby straszyć chciały napadem niewidzialnej hordy śpiących mieszkańców; psy ze wsi, oddalonej nieco od

dworu, poszczekiwały żałośnie chrypliwym głosem, i znowu z długim zmrókiem zapadała długa monotonna cisza wiejska. Kiedy sęki pękały na kominku, i wilgotne polana syczały w ogniu, albo gdy świeszczyk się przybliżał i zaczął muzykować wieczorami, zdawało się, że trochę nowego życia przybywało w pustych pokojach zaruczańskieg dworu.

A jednak pani Zofia z Dziunią dobrze tu było. Dziunia miała swoje ulubione koniki, swój zwierzyńiec, swoje sierotki w ochronie, z którymi chodziła się bawić, i nie przykrzyła sobie wcale pobytu w Zaruczu podczas zimy, spędzanej tu po raz pierwszy sam-na-sam z macochą.

W pogodne dni pani Zofia kazała zakładać do sanek i we dwie pędziły po srebrzonej wstędze drogi, wijącej się przez wieś, na spacer, aż do starego zwałonego młyna, o którym powiadano, że w nim straszy nawet w jasny dzień.

Nieraz po obiedzie ustawiano w dawnej oranżeryi tarczę i pani Odoniecka z Dziunią wprawiały się w strzelanie do celu z pistoletów Flower'a, albo rzucały pierścieni na zakrzywiony w kształcie haczyka nos Mefista, stojącego w pokornej postawie pod ścianą.

Najczęściej wszelako pani Zofia przebywała w bibliotece nieboszczyka męża, urządzonej nie tylko z wygodami wszelkimi, ale nawet ze zbytkiem. Nieduże, lecz pięknie rzeźbione szafy mieściły w sobie kilka tysięcy tomów w przepysznej oprawie, w szufladach i na stołach leżały albumy i teki, pełne wspaniałych rycin i własnoręcznych rysunków, wszystkich prawie znakomitszych artystów współczesnych; w gablotkach oszklonych znajdował się zbiór wcale liczny numizmatów; duży stereoskop pod oknem kilkaset widoków zawierał do zmiany; na ścianach wisiały w medalionach portrety naszych poetów, w czterech rogach stały na słupkach piękne kopie Apollina Belwederskiego, Perseusza Celliniego, Diany Houdon'a i Terpsichory francuzkiego rzeźbiarza Chapu, przedstawiając, jakby umyślnie zebrane w tym czworoboku, cztery różne epoki rzeźbiarstwa, od starożytności po nasze czasy.

Wygodne fotele, safianową skórą kryte, szeroka kanapa z pultem ruchomym do czytania lub pisanja, lampy i świeczniki z kapami do regulowania światła, podnóżki i poduszki, stoliki po bokach i duże biuro wpośrodku, uzupełniały urządzenie biblioteki, zajmującej jeden z największych pokoi we dworze zaruczańskim.

Tutaj było *sanctuarium* myśli i dumań pani Zofii. Całe wieczory spędzała ona samnasam pomiędzy temi czterema ścianami, wśród książek, albumów, dzienników, które trzy razy w tygodniu przywoził z pobliskiego miasteczka konny posłaniec.

Czasem zachodziła tu Dziunia, aby pod okiem macochy układać historyczne łamigłówki, lub przeglądać ilustracje; ale dziewczynka nie lubiła zmróku, jaki zwykle panował w bibliotece, gdyż dwie lampy zwieszane od sufitu rzucały tylko pionowo kręgi światła na biuro w środku pokoju stojące, a reszta pogrążoną bywała w półcieniu.

Od czasu przyjazdu swojego z Warszawy pani Zofia nie zawiązała jeszcze żadnych stosunków sąsiedzkich; siedziała w Zaruczu zamknięta, jak to czynił jej mąż nieboszczyk, i nie udzielała się nikomu Potrzebowała, najpierw, samotności, a potem, wystarczała sama sobie zupełnie, nie czując braku towarzystwa, które mogło jej być dać tylko konwencyonalną rozrywkę w najlepszym razie.

Stumilowa przeszło przestrzeń dzielila ją od Warszawy i od tego świata, który teraz mógł ją być najbardziej zajmować, a z którym zerwała nagle wszystkie niemal stosunki. Dziwiło ją to, że Fiszbbaumowie, tak uprzejmi dla niej za pobytu w Warszawie i tak ją wyróżniający, zapomnieli uwiadomić jej o najważniejszym fackie w rodzinie, jakim było małżeństwo Ludwika; o ślubie Romualda dowiedziała się dopiero z „Kuryerka“, który *urbi et orbi* obwieścił światu z wszystkimi szczegółami toalety panny młodej i dam w weselnym orszaku, o uroczystości zaślubin najmłodszej córki bogatego bankiera, znanego w szerokiej sferach plutokracji.

W naturach nawet najmniej egoistycznych,

wszelkie większe poświęcenie, wyrozumowanie czy instynktowe, nie może się obejść bez pewnego bólu, bez walki wewnętrznej, w której rany własną ręką zadane krwawią się taksamo, jak pod ciosem cudzej dłoni. Ten ból właśnie zwiększa wartość ofiary i jej znaczenie, stanowi niejako o cenie jej, o stopniu uczucia, które zwyciężyło ludzki ogoizm. Jakże łatwo byłoby się poświęcać, gdyby to poświęcenie nic nie kosztowało!

Pani Zofia nie mogła skryć sama przed sobą tego, że zadowolenia i szczęścia nie czuła po odsunięciu się od Romualda w imię rozsądku i obowiązku. Wiedziała o tem, że tak uczynić należało dla jego dobra, że ten krok stanowczy był koniecznym i uczciwym, a jednak w głębi duszy pytała się:

— Dlaczego musiałam ja to zrobić, nie inna?... dlaczego los mnie właśnie wybrał na tę drugą, nie inna?... Czyż ja nie mam równych praw do szczęścia w życiu, jak ona?...

Musiała godzić się z niecofionym faktem, ale nie była siłą, która ją powstrzymała od rozumowania nad nim.

Dziunia swoim dziecięcym instynktem odczuwała stan macochy, szukającej sposobów i środków zagłuszenia się i zwyciężenia do reszty buntującej się od czasu do czasu natury przeciw wyrokowi losu. Nieraz, patrząc na panią Zofię, chodzącą po bibliotece w kółko z głową spuszczoną, z rękoma splecionymi z tyłu, zatopioną w myślach i zapominającą o Bożym świecie, stawała przed nią i zatrzymując ją, pytała:

— O kim ty tak myślisz?... wyglądasz, jakbyś wracała z pogrzebu; mnie coś boli, kiedy patrzę na ciebie i boję się, gdy tak długo nie mówisz. Gdyby tu był Romuś, to nie dalibyśmy ci we dwoje tak „sumować“. *Ne żuryś, ne żuryś!*... kończyła po małorusku, językiem, którego najczęściej używała na wsi w obcowaniu ze służbą i dziećmi. Obejmowała macochę za kolana i mówiła dalej:

— Nie puszczę cię; przestań już tak chodzić w kółko i w kółko, bo ci się w głowie zakręci i upadniesz. Siadaj ze mną i rozmawiaj trochę, albo wiedz?... napiszemy list do Romusia.

Imię Lackiego w ustach dziecka przypominało pani Zofii niedawne, a niepowrotne czasy, z którymi zestawiona terażniejszość stanowiła kontrast tak wielki.

— Dlaczego ty nie chcesz ze mną pisać do Romusia?—pytała mała tyranka—ty go już tak nie lubisz teraz od czasu, jak się ożenił; prawda? masz coś do niego?... przyznaj się. O, i ja mam także!... Niby nas tak kochał, a jak wówczas na wieś wyjechał, tak przepadł niby kamień w wodzie. Co mi to za miłość taka!... Jabym mu to wszystko napisała od siebie, gdybyś mi poliniowała papier i dała pióro nowe, bo wszystkie stare już mi pordezewiały oddawna.

— A dlaczegoż sama nie napiszesz beze mnie? Dziunia w rączki plasnęła:

— To dobre!... najpierw boję się, abym żydów nie narobiła, a potem cóżby on sobie pomyślał, gdybyś ty się nie dopisała do mego listu!... Dawniej pisywałaś tyle razy, a teraz nagle... eh, co ja ci będę to tłómaczyła!

Ten list odkładano pod rozmaitemi pozorami zawsze na później; pani Zofii trudno było wytłómaczyć dziecku, jakie właściwie powody wstrzymywały ją od odzywiania się do Romualda po ożenieniu się jego z Ludwiką.

On sam uznał widocznie za najwłaściwsze przeciąć od razu stosunek, którego połowiczność była między nimi niemożliwą. Jakikolwiek nadaliby charakter swojej korespondencji, zawsze byłiby w fałszywym względem siebie położeniu, zawsze musiałoby pozostać między nimi coś niedopowiedanego, coś co byłoby najważniejszym i najbardziej zajmującym w ich listach, a czego odtąd ani powiedzieć sobie, ani napisać nie mieli więcej prawa.

Jak rzeczy w perspektywie nabierają wyrazistszej plastyki, tak ludzie w oddaleniu przedstawiają się pełniej, wierniej, prawdziwiej niekiedy, niż zbliżka. Dobrze jest czasem na człowieka popatrzeć z oddalenia: dostrzega się w nim nieraz rysy, które dla bliżkiego oka ginęły.

Kronika działalności kobiecej.

Pani Zofia w ten sposób przypatrywała się teraz Romualdowi, jak artysta, który odstępuje od obrazu, by lepiej jego całość ogarnąć badawczym okiem.

— Jednak ożenił się! — powtarzała sobie raz po raz i chociaż nie brakło jej ani jednego argumentu do usprawiedliwienia tego kroku, nie mogła jakoś w głębi duszy pogodzić się z tym faktem.

— Przecież nie kochał jej, nie mógł pokochać tak szybko — mówiła dalej — kłamać miłości nie będzie, za uczciwy na to. Jakież los jego w tem małżeństwie?... A ona?... ona go kocha, miłość ją zaślepi, przynajmniej do czasu, i będzie szczęśliwą przez swoje własne uczucie.

I wtedy przychodziło jej nagle natrętne pytanie: — A ja?...

Gniewał ją ten egoizm własny.

— Ja?... ja nie powinnam tu wchodzić w rachubę — tłumaczyła sobie — za siebie ja sama jestem odpowiedzialną.

Niekiedy myślała nad tem, co by jej większa przyjemność sprawiło: czy przekonanie, że Romuald, uratowawszy ojcowiznę posagiem żony, dopiął wszystkich swoich celów, stanął na wysokości obywatela, potomka pięknego rodu, człowieka czynu, inicjatywy i pożytku dla kraju; czy też widok tego bohatera z tragedji, walczącego do ostatniego tchu z fatalnością i upadającego w końcu nieugięty, choć wyczerpanym, niepodległym, choć powalonym, niewchodzącym w żadne kompromisy z losem, zagrzebującym siebie wraz ze swemi najpiękniejszymi marzeniami pod walącą się ruiną?

— Poetyzujesz! — przerywała sobie w połowie tych dumań — życie poematów nie układa, jego bohaterowie muszą czasem przykłękać na jedno kolano, i to im nie ubliża w końcu. Tragiczna wielkość i wzniosłość nie ma praktycznego znaczenia; na scenie, w powieści, w dramacie, w posagu, na obrazie, można się tam zachwycać można tego wymagać; ale my, ludzie pospolici, nie mamy obowiązku odgrywać heroicznym ról, zwłaszcza, gdy dla nich poświęcać trzeba ważniejsze względy ogólniejszej natury.

Mówiła to sobie, lecz nie przekonywała się szczerze własnem rozumowaniem.

W dziennikach znajdowała teraz dość częste wzmianki o publicznej działalności Romualda; czytała, że został członkiem tej lub owej instytucji, która potrzebowała ludzi czynu, energii i dobrej woli, czytała o jego projektach społeczno-ekonomicznych, po których wiele dobrego się spodziewano, i to ją jakimś uczuciem radosnego ukojenia przejmowało. Zdawało jej się, że rozumie teraz lepiej Romualda, że nie ma żadnej co do niego wątpliwości i niemal szczęśliwą się czuła w swej pustelniczkiej samotni. Nie mogła być towarzyszką jego pracy, współniczką jego życia; chciała być świadkiem jego czynów i działalności.

Gdyby balast wyrzucony z łódki mógł mieć jakakolwiek dumę, iż z jego ubytkiem balon poszedł w górę, дума ta byłaby podobną do uczucia, jakim teraz chwilami przepełniało się serce pani Zofii.

W myślach rozmawiała z nim o jego planach, o kwestjach przez niego poruszanych, zadawała sobie trud studyowania i zapoznawania się z przedmiotem, który na razie zajmował Romualda; wybierała z biblioteki książki, dzieła, materiały do danej kwestji i czytywała wszystko jakgdyby właścicielką, nie on, miała przygotowywać referaty w danych zagadnieniach.

Romuald ani się domyślał, że tam, daleko, gdzieś na krańcach, pracuje z nim wspólnie czyjaś myśl, odczuwa wspólnie czyjeś serce i dzieli się teoretycznie jego duchowem życiem, pomimo dalekich przestrzeni, dzielących ich oboje.

Dla pani Zofii było to potrzebą, stanowiło jakąś dzwignię moralną, zapełniało jej pustkę, jaką czuwała coraz bardziej do koła siebie, jakkolwiek starała się wmówić w biedne serce, że mu już niczego nie brak, bo mu się nic więcej z życia nie należy; ale serce ludzkie, jak chore dziecko, bierze lekarstwo i płakać nie przestaje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

— Na Krakowskiej Wystawie Sztuki przyznano Annie Bilińskiej dyplom honorowy za portret własny; medal srebrny za portret kobiety pastelami. Listy pochwalne otrzymały: Leonia Bierkowska za portret, Marya Dulembianka za obraz: „Model w pracowni.“ Na wystawie ogólnej otrzymały listy pochwalne: Wójcicka za mapę poglądową, Szmurłówna za malowanie na porcelanie; Marya Seeling de Saulenfels z Izdebnika medal srebrny za masło.

Zakład nauki robót kobiecych Ś-tej Scholastyki zajął obszerne miejsce w pawilonie szkół przemysłowych. W zakładzie tym, jak wiadomo czytelnikom naszym, uczennice pobierają w trzech oddziałach naukę: szycia ręcznego i maszynowego, krawieczyny i robót: drutowych, szydelkowych, wiązanych i siatkowych. Nadto jest im wykładany kurs rachunkowości i handlu. Plan nauki został oznaczony przez uchwałę sejmową i ujęty w systemat, odpowiadający najlepiej potrzebom uczennic w ich przyszłej pracy zawodowej, przyczem nauka została według najświeższych metod uproszczona i ułatwiona. Ztąd Szkoła Ś-tej Scholastyki, podnosząc się w znaczeniu, rozwinęła się bardzo szczęśliwie i założona w r. 1882, więc licząca pięć lat istnienia, ma 175 uczennic, których roboty przedstawiają na wystawie rezultaty najlepszego rozwoju szkoły. Baron Hohenberg z Wiednia, radca ministerstwa handlu, zakupił z wystawy dla muzeum austriackiego w Wiedniu wykonane w szkole przez p. Kaczmarską bardzo piękne ażurowe pokrycie na meble.

— W szkole malarstwa p. Wiesiołowskiego mieszczącej się na Krakowskim Przedmieściu w gmachu Resursy Obywatelskiej (w dawnej pracowni Lessera) kursa malarstwa obu oddziałów rozpoczną się z dniem 15 Października. Zapisy uczennic przyjmują się tamże codziennie. Wykłady teoryi sztuki zostały wstrzymane na czas nieograniczony, z przyczyn niezależnych od kierownika szkoły.

— Nazwiska pań, które na egzaminie w Muzeum Pszczolniczem otrzymały patenta z pszczolnictwa i ogrodnictwa, są: Bittowtówna Józefa, Bobrowska Katarzyna, Borkowska Julia, Brodowska Stanisława, Butrymówna Marya, Chraszczewska Marya, Chwalibogówna Amelia, Dębska Marya, Gąsowska Kaźmiera, Gorczycka Alexandra, Januszkiewicz Wanda, Jezyńska Beata, Koperczyńska Helena, Lubowicka Teofila, Mirska (Światopełk) Teresa, Paskucka Wiktorya, Rakowska Stanisława, Roszkowska Józefa, Sławińska Zofia, Sławińska Bronisława, Siennicka Malwina, Sokołowska Amelia, Stodółkiewiczówna Stanisława, Strusiówna Antonina, Swolkienówna, Wanda, Szmidtówna Józefa, Tarnowska Marya, Turska Anna, Walewska Joanna, Wigorówna Zofia, Wolska Cecylia, Wyrzykowska Franciszka, Żochowska Marya.

— Biuro najemnic dziennych ma być w Warszawie otwarte z dniem 1 Stycznia przyszłego roku, jeżeli pragnącej je założyć p. Rzeczycki otrzyma zatwierdzenie rządowe swego projektu. Zamierza on otworzyć w kilku punktach naszego miasta kantory, w których będzie można wynajmować czasowo robotnice do prania, mycia podłóg, porządkowania mieszkań i ogólnie robót łomowych, a nawet do pilnowania chorych, jakkolwiek to ostatnie zajęcie wymaga zupełnie innych i specjalnych uzdolnień.

— Zajęcie się nabiałem, zaczyna coraz więcej przedstawiać się jako taka gałąź pracy kobiecej, którą nietylko w pobliżu większych miast, jak to donosił korespondent *Gazety Radomskiej*, można uważać za korzystną i przedstawiającą pewny sposób pomnożenia dochodów rodziny. Fałszywstwo masła, powstałe wskutek coraz większej jego konsumpcji przy niezmiernym wzroście miast, zwróciło na siebie uwagę rządów wszystkich niemal państw europejskich, a że

tak masło fałszowane, jak sztuczne, zostało uznaniem wszędzie za silnie szkodliwe zdrowiu ludzkiemu, wszędzie też prawodawstwo dodało do swych kodexów karnych surowe przepisy, tak przeciw masłom fałszowanym, jak margarinie, czyli sztucznie fabrykowanemu masłu. W Anglii wydane świeżo w tym kierunku przepisy: „The Margarine Act,“ odbiły się na targach Europy wzmocnionym zbytem masła, po które z Hamburga zwrócono się do nas i oto *Gazeta Łódzka* donosi, że jeden z przemysłowców tamtejszych podjął się pośrednictwa. Nabywając masło w Królestwie i w przyległych mu prowincjach, wysyła je do Hamburga. Kilkanaście wagonów naładowanych tym towarem w ostatnich czasach tam wyprawiono i można to uważać za rzecz szczęśliwą dla naszego gospodarstwa wiejskiego, które dotknięte upadkiem cen i zbytu zboża, musi szukać innych źródeł zarobku.

Niech tak, jak owe odważne córki koresp. *Gazety Radomskiej*, postąpią wszystkie nasze panie i panny; niech gospodarstwo mleczne pozbędzie się pośredników: a nietylko stanie się to powiększonym zyskiem pojedynczych rodzin, bo wtedy masło nasze porządniej, umiejętniej, a dodajmy: sumienniej, uczciwiej wyrabiane, zdobędzie sobie na rynku europejskim dobrą opinią i zyska odbyt trwały. Ale nie trzeba namyślać się i za bierać do rzeczy zpańska, powoli.—Żyjemy dziś w wieku konkurencji, do swoich ostatnich granic doprowadzonej, i nigdy prawdziwsem nie było przysłowie: „Kto pierwszy, ten lepszy.“ Lepszym on jest rzeczywistym, bo dzielniejszym, pracowitszym, zabieglejszym, a już łacinnicy o tem wiedzieli, że późno przybywający biesiadnik dostaje—kości ogryzione! Wszystkie pachtury krów powinny być rozwiązane i gospodynie same, lub przez naturalne swe zastępczynie córki młode, powinny gospodarstwo mleczne wziąć na siebie. Trzeba oświecić ręce do tego przyłożyć, i przy nabożej a nietrudnej znajomości rzeczy, uważać to za swój obowiązek nietylko rodziny, ale obywatelki, aby to źródło dochodów utrzymało się przy nas.

Można zakres tego przedsięwzięcia rozszerzyć w sposób bardzo prosty, przypominając do niego lud wiejski. Nie jest to bynajmniej rzeczą niemożliwą, aby gospodyni ze dworu weszła ze swemi sąsiadkami z chat przyległych w pewien rodzaj stałej spółki—aby po umówionej cenie nabywała od nich świeże mleko, naprzykład z jednego, lub dwóch udojów: południowego i wieczornego, a zwiększając tym sposobem przedsiębiorstwo, mogła je uczynić poważnym i w finansach rodziny zaznaczającym się interesem. Wszystkie fabryki serów szwajcarskich tak postępują. Już nie ma tam wielkich właścicieli, nie istnieją też, albo bardzo rzadko spotkać się mogą, obory wielkie: a przecież przy pomocy takich spółek mlecznych handel serów szwajcarskich zaznacza się w Europie. Ile to lat temu pismo nasze podawało czytelnikom wiadomość o takich spółkach!

— *Korespondent Płocki* podaje wiadomość o dzielnej, śmiałej, a zapewne i tkliwego serca kobiecie. W Murzynowie umarł rybak, zostawiając żonę i pięcioro dzieci bez żadnego sposobu do życia; nieszczęśliwa wdowa nie załamała przecież rąk, ale odważnie wzięła się do prowadzenia męzowskiego rzemiosła, tak ciężkiego, tak niebezpiecznego dla kobiety! Ale silna wola i wytrwałość, przenosi góry i wdowa doszła z wolna do pokonania trudności, do zwalczania niewieściej trwożliwości i dziś, jak pisze *Korespondent*, widywać można niemal codziennie odważną tę kobietę na falach Wisły, jak z wiosłem w ręku podpływa w wątej łódeczce nieraz pod sam Płock, budząc zazdrość w rybakach tamtejszych. Taka emancypacja, mająca źródło w uczuciu—taka emancypacja, która czoło znojem poświęconej pracy rosi, nigdy kobiety z kobiecości nie wyzuwa i kobieco tkliają, słodką, łagodną pozostawia. Można być prawie pewnym, że rybaczką z Murzynowa z dziećmi swemi sama pacierz odmawia i nieraz je do piersi tuli, po główkach głaszcze, a może im nieraz do snu śpiewa, jeżeli które z nich jeszcze małeńkie.

— Przed dwudziestu pięciu laty młoda panna,

Eugenia Roche, sklepowa w jednym z najwytworniejszych bławatnych magazynów w Paryżu, została nagle Siostrą Miłosierdzia i założyła stowarzyszenie wzajemnej pomocy panien sklepowych, które dziś jest bardzo licznym, bo przeszło trzy tysiące uczestniczek liczy. Życie uczciwe, dalej pewna składka do kasy oszczędności towarzystwa wnoszona — to główne warunki obowiązujące. Uczucie religijne panuje, naturalnie wśród stowarzyszonych, których moralną przewodniczką i opiekunką jest siostra Augustyna, tak kochana i czczona, jakgdyby była złączona ze stowarzyszonymi przez najbliższe węzły krwi. W dzień czterdziestej siódmej rocznicy jej życia, która przypadła w początkach bieżącego miesiąca, przysłano jej takie mnóstwo kwiatów, że kaplica Wizytek, w którym stowarzyszenie zebrało się na nabożeństwo poranne, była niemi literalnie przepełniona.

— Niemieckie pisma donoszą z Berlina, że liczba młodych dziewcząt ciśnie się tam go stanu nauczycielskiego w ilości przestraszającej „in erschrecken dem Maasse“ jakkolwiek głosy ostrzegające podnoszą się zewsząd. W Berlinie zapisało się tyle wyższych nauczycielek na aspirantki do szkół miejskich, że miejsca wszystkie na czas bardzo długi są zajęte już naprzód. I jest to tak nie tylko w Berlinie, ale w całych Niemczech. Te, które złożyły examina niższe, zupełnie już pomieszczenia znaleźć nie mogą, bo nawet nauka robót ręcznych i gimnastyki została powierzona nauczycielkom z wyższymi patentami, które dotąd nigdy zajmować się nie chciały temi przedmiotami.

PODRÓŻE.

Listy Antoniny Herf z Indyi Wschodnich.

(Dokończenie. Ob. Nr 37).

Pozwólcie, że wam opiszę uroczystość na dworze wice-króla. Na dłuższy już czas przed nią doznawałam pewnej trwogi: czy też potrafię się znaleźć w tak wysokich progach, czy się wydam właściwie?

Mąż mój sprawił mi suknię przepyszną, z najśliczniejszej materyi, przybraną w koronki i drogie kamienie; wystrojona od stóp do głów, jak królowa indyjska, udałam się na ową niezwykłą uroczystość.

Zajechaliśmy przed pałac kryształowy. W głównej sali, przedudnie przystrojonej, na środku stał wice-król Indyi i namiestnik króla hollenderskiego. Okazał się dla mnie uprzejmym, wypytywał się mnie: z kąd pochodzę, jak mi się podoba pobyt w Indjach? Mój pierwszy debiut na dworze miał zupełne powodzenie. Przez 8 dni odbywały się bezustanku przyjęcia, obiady, bale, illuminacje, fajerwerki, na których bardzo przyjemnie czas spędzałam. Przepych na dworze namiestnika panuje tak wielki, że chyba nie każdy dwór europejski może iść z nim w porównanie. Jest to prawdziwy przepych wschodni z „Tysiąca i jednej nocy.” Tańce odbywają się w największym porządku; bufety zastawione najpyszniejszymi europejskimi i indyjskimi potrawami inapojami, między którymi wino szampańskie bardzo ważną rolę odgrywa.

Na Jawie spotkał mnie następujący wypadek: od dawniejszego już czasu dawał mi się we znaki nieszczególny stan zdrowia, cierpiałam raz na febrę, kiedy indziej na bóle głowy, a bardzo często na dokuczliwą migrenę. Pewnego dnia mąż mój, skutkiem zajęć służbowych, zmuszonym był wyjechać na tydzień z domu, ja zaś w otoczeniu mej służby, z małymi synkiem, pozostałam w domu. Migrena dokuczała mi w straszliwy sposób, a wszelkie próbowane środki nie przynosiły żadnej ulgi. Leżałam zmęczona na kanapie, gdy naraz usłyszałam lekkie pukanie do drzwi. Moja wierna Baboe pobiegła i przez uchylone drzwi odebrała pakiet, który kazałam jej rozwinąć. Zawierał

w sobie bardzo ładną puszkę, na której w języku hollenderskim wryte były następujące wyrazy: „Nieochybny środek przeciwko bólowi głowy.” Jakkolwiek przerażona i zdziwiona, nie zastanowiłam się jednak nad tajemniczością posyłki. Nie mogłam sobie zdać dokładnie sprawy, ktoby mi ją przysłał; przypuszczałam, że może mąż mój nabył gdzie w drodze i zrobił mi niespodziankę lub może który ze służby tak był usłużnym i chciał mi ulżyć w przykrem cierpieniu. Cała zajęta myślą, jakby się pozbyć migreny, odczytywałam sposób użycia, przysłanego mi środka. Przepis opiewał: „Znajdującą się wewnątrz maścią posmarować czoło, policzki, brodę, szyję, ramiona i ręce, a pomimo palącego bólu pozostawić na godzinę, następnie obmyć ciepłą wodą — a ból głowy przejdzie.” Otworzyłam puszkę i ujrzałam we wnętrzu maść obrzydliwego koloru i zapachu; pomimo to, zmęczona chorobą, wzięłam z niej trochę i natarłam czoło; ponieważ jednakże natychmiast doznałam nieznośnego palenia, dałam więc pokój wcieraniu i zawiązałam głowę chustką. Ból wzmagił się bezustanku. Skutkiem tego postanowiłam zmyć skórę ciepłą wodą. Gdym zdjęła, przy pomocy Baboe chustkę, wierna moja służąca krzyknęła w sposób przeraźliwy i przyniosła lustro, abym się w niem przejrzała. Oslupiałam z przerażenia: zaledwie bowiem mogłam rozpoznać rysy swojej twarzy. Skóra zupełnie ściemniała, na czole wystąpiło kilka dużych pęcherzy czarnego koloru, oczy przybrały jakiś dziki wyraz. Zdrętwiałam ze strachu i bólu, zrozumiałam, że mój stan stał się ofiarą mistyfikacji i wyobrażałam sobie, jaki byłby mój stan, gdybym była według przepisu ściśle postąpiła.

W żaden sposób nie mogłam dojść z kąd otrzymany pakiet pochodził. Mąż był zrozpaczony moim okropnym wyglądem i wściekły z powodu tajemniczego a niegodziwego postępkę; ale pomimo najenergiczniejszego śledztwa, nie udało mu się wykryć sprawcy, która widocznie działała z pobudek zazdrości.

Środki zachowywania i niszczenia piękności, są na Jawie o wiele doskonalsze niż w Europie. Kosmetyki wiecznej młodości są tu rzeczywiście zadziwiające; ale kobiety, które ich używają, prawie zawsze kończą na chorobę umysłową. Niedawno pokazywano mi 80-letnią kobietę, która zachowała wszystkie pozory piękności i młodości. skutkiem używania pewnych specyfików, lecz, niestety, była waryatką.

Mężowi memu wypadło raz w interessach służbowych na kilka dni wyjechać do dosyć odległej miejscowości. Udał się więc wraz z przyjacielem swoim i służbą w drogę. Na jednym z popasów, w maleńkiej chatce, miał zajście tragiczne, które mi w tych mniej więcej słowach opowiedział:

„Zmęczeni drogą, posiliwszy się, udaliśmy się na spoczynek. W domowstwie byłam sam tylko ze swoim przyjacielem, służba zaś dla braku miejsca poszukała sobie noclegu gdzie indziej. Około północy zbudził mnie szmer podobny do chrobotania. Wyteżyłem słuch i poznałem po chwili, że w bliskości mego łóżka dzieje się coś niezwykłego. Naraz owionęło mnie chłodne powietrze; wsłuchawszy się pilnie w dochodzący mnie odgłos, przyszedłem do przekonania, że drewnianą ścianę domu zzewnątrz złoczyńcy starają się prześwidrować. Obudził się tymczasem i przyjaciel mój. Szepnąłem mu, aby był cicho i czekał co dalej nastąpi. Po upływie może kwadransa otwór tak się już rozszerzył, że zbrodniarz mógł wsunąć weń całą rękę. Przyjaciel mój, miał ze sobą olbrzymi jatagan, pochwycił wsuniętą rękę i wymierzywszy cios potężny, od razu ją obciął. Przeraźliwy krzyk, później straszny jęk, a po chwili znowu grobowe milczenie. Zapaliliśmy światło. Powoli ochłonęliśmy z przykrego wrażenia; po brązowym kolorze skóry poznaliśmy, że obcięta ręka, była ręką Indyanina, krew ociekała z niej obficie. Służba, usłyszawszy krzyk, zbiegła się do nas. Rozpoczęliśmy poszukiwania, ale nadaremnie: prócz strugi krwi na ziemi nic i nikogo nie znaleźliśmy w pobliżu. Jakie zamiary miał złoczyńca: czy poprostu po-

wodowała nim chęć okradzenia nas, czy też zemsta na mnie lub na przyjacielu moim, tego dociec nie byliśmy w możności. Rano posłaliśmy dowiedzieć się: czy nie widziano gdzie człowieka z uciętą ręką, lecz i te zabiegi spełzły na niczem. Zasiadliśmy tedy przed domem, aby spożyć śniadanie, dobyliśmy gazet i spokojnie zabraliśmy się do swoich czynności, kiedy naraz usłyszałem świst kuli, która przeleciała między naszymi głowami, wyrwijac gazetę z rąk mego przyjaciela. Pomimo przestachu, jaki ten wypadek na nas wywarł, nie utraciliśmy spokoju. Przyjaciel mój podjął z ziem gazetę i rozpoczęliśmy nadal czytanie, jakgdyby nic nie zaszło, jakgdyby kula żadnego z nas dosięgnąć nie była mogła. Podobna zimna krew Europejczyka w Indjach jest niezbędną w ten bowiem sposób mieszkańcy nabierają przekonania, że jesteśmy rodzajem półbogów, że ich zemsta dosięgnąć nas nie może, że kule ich strzelb nie zdołają nam zaszkodzić. Rozwija się między nimi przekonanie, że jesteśmy niejako zabezpieczeni przez wyższą istotność od ich napaści i skutkiem tego coraz rzadziej osmielają się napadać na białych.

Inny Indyanin, ale już nie rabuś nocy, tylko radza, pełniący pośród swoich funkcją króla, miał także nie bardzo cywilizowane popędy. Gdy mu się podobał jaki klejnot w uszach, na palcach, lub na szyi kobiety, bez ceremonii prosił o niego, a raz nawet zdarzyło się mu na uroczystym przyjęciu zaproponować jakiejś damie, aby go po krzyżu „podrapała”. Usłyszawszy podobną propozycją, dama natychmiast zerwała się i wybiegła z sali audencyjalnej. W kilka dni później mąż jej otrzymał dymissją. Kiedy indziej znowu na balu, na którym tańczono, radza posłał adjutanta do pewnej damy, siedzącej dosyć daleko od jego książęcej mości, aby oświadczył jej, że pragnie z nią zatańczyć. Niepodobna było odmówić, i bezwzględnie zaproszona zbliżyła się do jego wysokości. Ujrzawszy ją zbliżyła, władca indyjski zwrócił się do siedzącego przy nim Europejczyka i rzekł: „Jaka ona stara! ja z nią tańczyć nie będę”, — przyczem splunął. Przytoczyłam tych parę przykładów dla charakteryzowania obyczajów na dworze władcy indyjskiego.

A teraz zdarzenie prawdziwie legendowe. Na rozległej i precudownej równinie nieogarnionej okiem, wśród przepysznej natury, pozostały jeszcze dziś szczątki świątyni nad brzegiem jeziora niedgdyś suto przyozdobionej złotem i drogimi kamieniami.

Przed dawnym bardzo czasem żył w tej okolicy, dziś opuszczonej i opustoszałej, wielki król; potęgą jego była bez granic a bogactwa niezliczone; panował nad wielką ilością miast i wiosek. Najpiękniejsze dziewice i mężatki musiały mu swemi wdziękami, śpiewem i tańcem czas uprzyjemniać; posiadał wiele hołdujących mu; poddani drżeli na jego widok. Skinienie było rozkazem, życzenie prawem.

Pomimo tego wszystkiego, wielki władca był smutnym i nieszczęśliwym. Nic go nie mogło rozweselić, korona przygniatała go, a purpura ociekała mu łzami. Bogowie musieli pozazdrościć mu jego ziemskiego szczęścia, gdyż zabrali w ofierze dla siebie to, co miał najdroższego. Żona jego, cudo piękności, najlepsza kobieta pod słońcem, umarła, a jedyne dziecko, jakie z niej posiadał, znikło bez śladu. Znikło! Sliczne dziewczątko miało setki opiekunów i sług, czuwających nad bezpieczeństwem dziecięcia królewskiego, a pomimo to zginęło, przepało bez wieści.

Szukano wszędzie w ziemi i pod ziemią, w jaskiniach i gąszczach leśnych; w pieczarach głębokich i na szczytach gór: wieś i miasta, domy i ogrody, chaty i pałace — wszystko przetrząsnęto... wszystko napróżno.

Nareszcie potężny monarcha zwołał z całego swego rozległego państwa wszystkich księząt, mędrców, kapłanów i czarowników i obiecał oddać połowę swego państwa temu, kto mu odszuka jego zaginione dziecko.

Upłynęły lata, a o dziecku nie miał żadnej wiadomości. Państwo pod potężnym berłem jego rosło w obszarze i bogactwach; handel, przemysł, sztuki i nauki były w kwitującym stanie: tylko on jeden pozostał, pomimo swej wielkości, pognę-

bionym i nieszczęśliwym. Nic go rozweselić nie mogło, wzdychał do śmierci.

Pewnej nocy, bezsennej, zjawił się najstarszy kapłan, który uchodził na dworze za najbieglejszego odgadawca snów i astrologa. Padł przed swym władcą na kolana, a przyłożywszy dłoń do czoła, przemówił: „Miałem widzenie, najjaśniejszy królu! Dostrzegłem na niebie gwiazdę, której przedtem nigdy nie widziałem, a z położenia jej względem innych gwiazd wnoszę, że jest ona w związku z losem i przyszłością twego domu. Gdym zaglebił się w myślach i wpadłem w rodzaj marzenia, usłyszałem wyraźny głos, który mi objawił: „Chcę ci dać wiadomość o Saleih, utracenem dziecięciu królewskiem.”

Drżąc z radości na całym ciecie, głęboko wzruszonym głosem zawołał król do kapłana: — „Mów, mów, mędrze, oddam ci połowę mego państwa jeżeli mi wrócisz moją córkę!”

— O, panie—odrzekł starzec—nie pragnę żadnej ziemskiej nagrody, jestem aż nadto wynagrodzony, że bóstwa mnie wybrały, aby pośredniczyć między tobą w odzyskaniu twego nieozaczwanego skarbu. „Pójdź — mówił głos w dalszym ciągu—i objaw twemu wielkiemu królowi, ażeby wybudował świątynię, jakiej jeszcze ludzkie oko nigdy nie widziało, tak bogatą i ozdobną, jakiej żaden kraj jeszcze nie posiada: a wtedy w nagrodę odzyska swą córkę w postaci urodziwej dziewczyny, obdarzonej wszystkimi wdziękami i cnotami.”

Uradowany król, podniósł starca z ziemi, ucałował go w czoło i zawołał: „O, dzięki wam, bogowie, i tobie, wierny sługo. Jeszcze w tej godzinie rozpocznie się wielkie dzieło ku chwale bogów i ku odzyskaniu mego skarbu!”

W wielkiego króla wstąpił nanowo duch i siły młodzieńcze. Rozpoczęła się kolosalna praca. Ze wszystkich stron świata zbiegli się rzemieślnicy i artyści. Otworzono na oścież skarbiec, wyznaczono robotnikom kolosalną płacę, oswobodzono niewolników, uwolniono więźniów, obiecano pracującym wysokie zaszczyty i bogactwa. Skąpy dostarczały marmurów i drogich kamieni, ziemia — złota i srebra, lasy — palm i cedrów, a morze perel, koral i rzadkich muszli. W ten sposób powstała wspaniała świątynia ku chwale bogów.

Gdy już dzieło przepyszne, kosztujące miliony, było dokonane, król ogłosił wielkie święto trwające ośm dni i rozkazał całemu narodowi swemu się weselić.

Do świątyni ciągnęła wspaniała processya. Na przodzie prowadzono przecudnie przystrojone białe słonie, za którymi szła muzyka; dalej następowały wozy z ofiarami, później, na białych rumakach jechały najpiękniejsze dziewczęta państwa, trzymając w rękach wonne balsamy i olejki. Wszyscy spodziewali się, że w świątyni znajdą utraconą królowę. Potem, na olbrzymim białym słoni, dźwigającym kosztowny tron, pod baldakimem zdobnym w drogie kamienie, jechał potężny król, za nim postępował cały dwór, a w końcu tancerki królewskie, które w takt muzyki wykonywały pąsy. Całemu pochodowi towarzyszyły niezliczone tłumy ludu.

Przed świątynią ustawiono tron; prowadzili do niego szczerozłote schody. Król, zniecierpliwiony już tak długą ceremonią, zasiadł na nim, z gorączkowym pośpiechem. Wtedy kapłani, przybrani w białe szaty z drogiemi kamieniami, zbliżyli się do tronu i padli przed obliczem królewskiem na ziemię, tarzając głowy swe w prochu. Naraz w przedśionku świątyni ukazała się dziewczęta przecudnej urody w królewskim stroju. Król, ujrzawszy ją, wyciągnął ramiona i chciał pobiedz, by ją przycisnąć do swego serca. Ale wtem dał się słyszeć głos: „Wstrzymaj się! albo ci gro-

zi wieczne potępienie! Pobudziłeś gniew bogów, gdyż do upragnionej przez nich liczby posągów braknie jednego, a za karę dziecięcia twego nie uściśniesz!”

Oko królewskie zapalało strasznym gniewem, rzucił przekleństwo kapłanom, a potem zawołał: „Niech gromy niebios zgruchoczą ten dom, do którego nigdy wstępu mieć nie będziecie!”

Zaledwie głos, umilkł gdy niebiosa się roztwarły i straszny piorun zniszczył kolosalne dzieło królewskie, z którego pozostały tylko nagie mury. W miejscu zaś, w którym wznosił się tron, powstało jezioro.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Podróżnik czeski**, Dr Holub, przybył do Wiednia po trzyletnim pobycie w Afryce Południowej, z kąd przywiózł bardzo ciekawe zbiory, obejmujące 147 pak. Jest to przecież tylko cząstka tego, co uczony Czech zebrał prawdziwie w pocie czoła i z narażeniem życia, gdyż został on napadnięty i zrabowany przez dzikie plemię Murzynów, Maszukulumbę, mieszkające na północ od Zambesi. Przecież to jeszcze, co zostało, przedstawia cenne dla nauki skarby. Jest tam 602 skór zwierząt czworonożnych, gotowych do wypchania, a z tych 70 należało do zwierząt takiej wielkości jak „knodn” — antylopa, większa niż sarna. Ptaków wypchanych znajduje się 2,221; owadów dobrze zachowanych 27,000, a wśród tych 3,000 moli i motyli. Roślin jest 6,500 okazów i twierdzić można, że nigdy jeszcze tak znaczne zbiory nie były od razu zgromadzone i zdobyte dla Europy.

Prócz tego Dr Holub dokonał 1,600 spostrzeżeń meteorologicznych i blisko 30,000 pomiarów. Należy dodać, że żona towarzyszyła ciągle mężowi, nie rozłączając się z nim nigdy i bohaterko dzieląc z nim trudy i niebezpieczeństwa, pełne dramatycznych i ciekawych, ale zarazem strasznych obrazów. Odważna para zamierza puścić się wkrótce w ponowną podróż, aby dotrzeć więcej w głąb nieznanym cywilizowanemu człowiekowi okolic Afryki, co jednak nastąpi dopiero po uporządkowaniu zbiorów, które mają być wystawione kolejno w rozmaitych wielkich miastach Europy.

— **Stowarzyszenie Liszta** zawiązuje się w Pieszczycach i w Wiedniu, z celem rozpowszechnienia dzieł mistrza, przez kolejne ich wykonywanie w kościołach, teatrach i koncertach, Z 1,222 znanych jego kompozycji, było publicznie w Wiedniu wykonanych tylko 206, czyli część ich szóstą.

— **Liczba dzienników** wychodzących we Francji jest 4,400, z tych więcej niż połowa zamieszcza w odcinkach swoich powieści, które niekiedy drukują się naraz w kilku dziennikach. Felietony bywają oryginalne i tłómaczone, każdy większy dziennik ma też dwóch felietonistów. Richbourg stoi na pierwszym miejscu między piszącymi felietony oryginalne i roczna jego pensya w paryzkim dzienniku „Pétit Journal” jest 45,000, drugi felietonista tłómacz, otrzymuje 10,000 fr., „Petit Parisien” za ostatnią drukującą się w nim powieść, zapłacił honorarium 44,000 fr. Wielkie dzienniki polityczne mniej się ubiegają o pociągające felietony.

— **Akademia Francuzka**, jak twierdzi głos publiczny, ma wybrać na swego członka w miejsce zmarłego prof. Caro, historyka de Chantelauze. Jest to syn kanclerza Francji za Karola X.

— **Nowa sztuka** francuzkiego dramaturga Paillerona: „La Souris,” posiada tylko jedną rolę męską a siedm kobiecych. Teatr *Komedii Francuzkiej* wahał się dlatego z przyjęciem, ale przeważył głos dyrektora, Juliusza Claretie, który oświadczył, że mimo tytułu, nieco excentrycznego, sztuka jest godna przyjęcia.

— **Dawno zapowiedziana książka** Rénana: „Dzieje Ludu Izraelskiego,” opuściła prasę. Przepuszczają że wywoła żywą polemikę religijną.

— **Historyk amerykański** Bancroft ma wkrótce dać do druku od lat wielu oczekiwane dzieło: „Dzieje stanów Zjednoczonych.” Pisze on je przeszło dwadzieścia pięć lat przy pomocy kilku sekretarzy i przypuszcza, że historia Kalifornii obejmie tomów 7, historia Meksyku 6, Stanów Środkowych 3, Oregonu 2. Także dwa tomy mieć będą dzieje północo-zachodnich wybrzeży, a każdy ze Stanów, położonych nad brzegami Oceanu Spokojnego, tom jeden.

— **Professor Virchow** na ostatnim posiedzeniu berlińskiego Towarzystwa Lekarskiego dał wiadomość o głodomorze z początków XVIII-go wieku, szlachcicu polskim, nazwiskiem Bernhardus, którego portret, malowany w 1719 roku przedstawił. Okazuje on rysy męskie, czoło wysokie, nos rzymski; ale twarz cała, wynędzniała straszliwie, była tylko kośćmi i skórą. Bernhardus pościł tak surowo przez cały Wielki Post, to jest dni czterdzieści, że nie przyjmując żadnego pożywienia, odwiłzał tylko język wodą ze słodkim syropem, jak to potwierdzał wyciąg z ksiąg kościelnych parafii Plön, poświadczający zarazem śmierć Bernhardusa, wynikłą z wyniszczenia. Dr Voss, dyrektor Królewskiego Muzeum w Berlinie, z kąd portret został wzięty, dodał, że został on znaleziony w Plön, w gościnnej izbie karczmny „Pod jeleniem”, gdzie dostać się musiał po wygaśnięciu rodziny.

— **Włoski uczyony**, signor Tordi, znalazł dokument wykazujący, że ostatniem na ziemi miejscem spoczynku Vitorii Colonna był mały, bardzo stary kościółek rzymski S-ty Anny del Falegnami. Ciało, złożone w trumnę cyprysową, obitą czarnym aksamitem, w haft srebrny, pochowano w sklepach kościelnych — w którym miejscu przecież dokument nie dodaje. Ponieważ wymieniona świątynia bardzo już stara i rozpadająca się w gruzy, ma być wkrótce rozebrana, więc w pewnych kołach rzymskich zapanowała smutna trwoga, aby prochy kobiety szlachetnej, której geniusz poetyczny, cnota i piękność dają prawo do wiecznej pamięci narodu, nie zostały z wiatrem rozwiane.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Dzisiejsi** przez H. Rabusson.

TREŚĆ: Księżna Izabella. — Pogawędka. — Wychowanie, (dokończenie). — Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Podróże, Listy Antoniny Herf z Indyi Wschodnich, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarzkie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 16 Сентября 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Chustki damskie do nosa.

Rycina Nr 21 i 22 w Blu. Nr 38.

Rycina 21 przedstawia chustkę mającą 36 c. w kwadrat, z chińskiego jedwabiu, ozdobioną szlakiem robionym atłaskiem i gałązkowym ścięciem. Chustki podobne bywają białe lub z kolorowym szlakiem.

Rycina 22 przedstawia chustkę do nosa, 30 c. w kwadrat mającą, z białego w pasowy rzucik drukowanego fularu, obdzierganą w koło w ząbki pasowym jedwabiem.

Stolik do podania pokryty serwetą.

Rycina Nr 30 w Bl. Nr 38.

Rzeźbiony drewniany stół z metalowymi rączkami, pokryty serwetą białą średniej grubości płótna, z frendzlą w niebieski drukowany desień, który otacza złoty sznurek, przytwierdzony złotym jedwabiem, brzeg zaś serwety obrobiony rzędem ściągów rybiej ości, niebieską przędzą. Na frendzlę wiąże się z poprzecznej strony serwety, w regularnych odstępach po 3, mniej więcej 40 c. długie białe nitki i niebieskiej przędzy, zaplatając każde 6 końcy 3 rzędów w podwójny węzeł i przymocowując naprzemian do drugiego rzędu, podług ryciny, małe pęczki z niebieskiej przędzy.

Serweta na stół.

Rycina Nr 31 i 32 w Blu. Nr 38. Deseń pierw str. tabl. Nr VI, fig. 26.

Serweta składa się z części środkowej szydełkową robotą, wykonanej z przędzy brylantowej i złotych nici, z którą łączy się szlak na grubym białym płótnie haftowany dwoma cieniami oliwkowemi, ciemno-pasowa i czarna filozela, oraz złotem, ścięciem atłaskowym i Holbeina, szlak obrobiony jedną koleją szydełkową: otacza go także koronka, której wzór odpowiada środkowej części serwety. Środkowa część składa się z 49 oddzielnie robionych rozet przędzą brylantową; o środkowe oczko każdej rozety, zrobiona jest złotą nitką osą wiadomym sposobem. Przedziały uformowane połączeniem rozet, wypełniają się pikotami. Każdą rozetkę (patrz ryc. 31) zaczyna się od środka. Kolej 1: 11 pow. ocz., z których 2 do 5 stanowią podwójny słup. 3 każdy przez 6 o. pow., rozdzielony podw. słup. w pierwsze z 11 po 6 pow. ocz., 1 ści. ocz. w 5 z 11 pow. ocz. Kolej 2: * 3 razy naprzemian: 2 ści. o. w najbliższe pow. ocz., 1 ści. oczko w następne oczko, wtedy † odwrócić robotę i na poprzednich ocz. z powrotem robić, 2 pow. o. 1 ści. ocz. w następne ocz., 4 razy naprzemian: 1 pow. o. 1 ści. ocz. w dru-

gie następne ocz., robotę odwrócić, 1 pikot (t. j.: 3 pow. ocz. i 1 ści. ocz. w 1 z tychże), 1 ści. ocz. w następne pojedyncze ocz. pow., 4 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 ści. ocz. w następne pow. o., dalej od † 2 razy powtórzyć, jednak trafia 1 ści. ocz. zawsze na pow. ocz., a przy drugim powtórzeniu zamiast na pikocie, w następnym pojedynczym oczku, zrobić 1 pik. Następnie wzdłuż najbliższego poprzedniego brzegu, poprzednio zrobionego oczka 2 razy naprzemian: 1 pik., 1 ści. ocz., o właściwe żyłki następnego ści. ocz. i od * jeszcze 3 razy powtórzyć, w końcu 1 ści. ocz. w ostatnie oczko poprzedniej kolei. Tem skończona jest jedna rozeta; każda następna robi się tym samym sposobem; jednak zaczyna się pojedyncze pikot. z rozety. Po połączeniu wszystkich rozet, wypełnić przedziały pik., złotymi niemi i w środku rozety zrobić po 4, a u brzegu środkowej części po 2 rzędy tychże. Na każdy rząd deseniowy do którego 2 pikot. rozetowe przyczepiono, zrobić 3 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 pik., przy 3 powtórzeniu należy środkowe 2 pow. ocz. przyczepić do poprzedniego pik., dalej 1 ści. ocz. w pow. ocz. przed ostatnim pikot. i 2 razy naprzemian: 1 pik., 1 ści. ocz. w ocz. znajdujące się przed ostatnim pikot. Każdy następny rząd kolejowy robi się tym samym sposobem. Po zrobieniu środkowej części, zrobić koronkę z takichże rozet i pi-

kotowych figur, podług ryc. 31. Ukroić następnie kawał kwadratowy płótna, wyciąć z niego kawał odpowiedni zrobionej szydełkowej robotcie, zostawiając kawałeczek na obrębek i wyszyć całe płótno podług wzoru fig. 26, który należy na płótno przenieść. Większe figury deseniowi haftować ciemno-pasowym jedwabiem, z wyjątkiem środkowej przestrzeni, która się haftuje złotem, mniejsze figury robić naprzemian dwoma cieniami oliwkowego jedwabiu atłaskiem, otoczenie zaś i ścięgi Holbeina pojedynczemi nitkami czarną filozelą. Wewnątrz i brzegiem obrębiony szlaczek, obdziergać jedną koleją brylantową przędzą, przy czem jednocześnie przymocować środkową część, oraz koronkę, robiąc ciągle naprzemian: 1 ści. o. w obrębek i 2 pow. ocz., któremi opuszcza się odpowiedni kawałek obrębka.

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 33 w Blu. Nr 38.

Koronka z brązowej przędzy, robi się poprzecznie i obrabia w górnym brzegu dwoma rzędami szydełkowemi. Zaczyna się na łańcuszku z 24 oczek, dziergając tam i na powrót, a że koronki takie bardzo łatwo podług wyraźnej ryciny odrobić, uważamy za zbyt liczne detaliczne opisywanie wszystkich oczek i słupków, z których składa się ta koronka.

Suknia wizytowa z deseniowego faille.

Rycina Nr 2 i 15.

Spódnica z żółtawej materii, ogarniowana u dołu 10 cent. szeroką plisowaną falbanką, ozdobiona z przodu w guście fartuszką złotym w czarny desień faille i 30 c. szeroką kremową koronką. Oprócz tego suknia pokryta taką samą faille, ułożoną w górze w gęste fałdy gładko spadające i tylko z lewej strony lekko podpięte, stanik krótki okrągły sfaldowany z przodu, wszyty w koronkowy karczek z rękawami, ozdobionymi koronkowemi klinami, zapięty z przodu na haftki. Na kołnierzu oraz u brzegu przybrany szlakiem z czarnych dzętych pereł, które z przodu spadają na suknię i kończą się kwastami. Przyszyć karczka, oraz wszyć koronki w rękawy, pokrywa wązki szlaczek z czarnych perełek.

Kapa na łóżko.

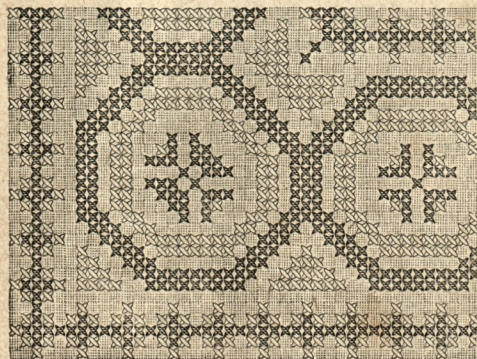
Rycina Nr 3, 9 i 13, oraz ryc. 1 i 2 w Blu. Nr 38.

Kapa na dwa łóżka, 286 cent. szeroka, a 195 c. długa, składa się z pasów 29 cent. szeroki, haftowanych na cienkim siatkowym żółtawym tiulu i 34 cent. szeroki wstawek z siatkowej gipiury. Rozety kapy otacza 17 centim. szeroka



Nr 1. Płaszczek wyszywany. Plecy. (Do ryc. 19).
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 27 — 30.

Nr 2. Suknia wizytowa z deseniowego faille. Przód.
(Do ryc. 15).



Nr 4. Szlak do ryc. 5 krzyżową robotą.

koronka z siatkowej gipiury. Wstawkę ryc. 2 w Blusz. Nr 38, wykonać



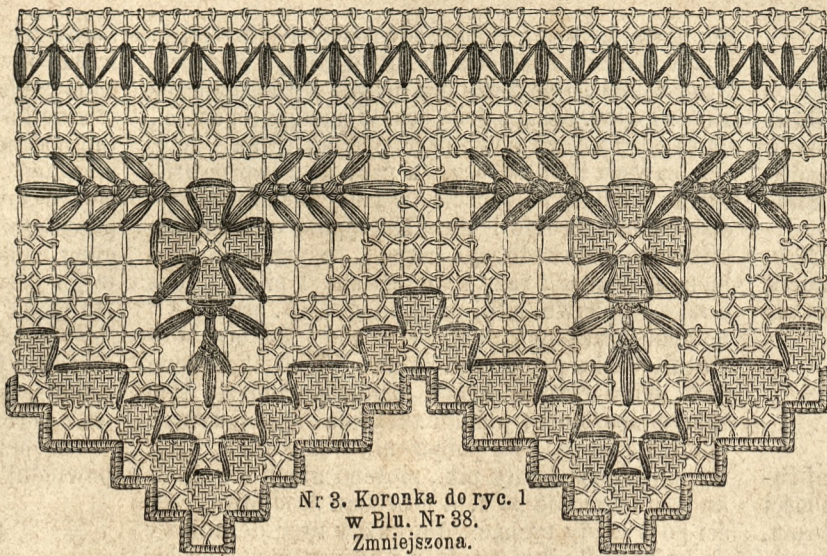
Nr 9. Szlaczek wązki do ryc. 1 w Blu. Nr 38 Holbeina i krzyżową robotą.

najpierw tło siatkową robotą, grubymi żółtawymi niemi, w około pręcika mającego 2 cent. obwodu, a następnie wykonywać haft takiemiż niemi, ścięciem point-de-toile i point-d'esprit, oraz zrobić żeberka i otoczyć figury ścięciem point-de-toile niebieską i pasową przędzą. Gwiazdki i słupki wykonać takąż przędzą. Koronkę zrobić odpowiednio do wstawki, podług ryc. 3 w Blu. Nr 39, obdzierać wzdłuż brzegu i wyciąć zbywające tło, haftowane pasy wyszyć krzyżową i Holbeina robotą, zajmując po 2 nitki tkaniny, podług ryc. 9 i 13 w Blu. Nr 39, pasową i niebieską przędzą.

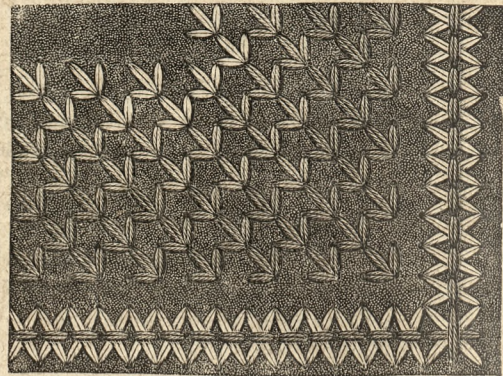
Igielnik do drutów, igieł szydełkowych, siatkowych i t. p. krzyżową robotą.

Rycina Nr 4—6.

Rycina Nr 5 przedstawia igielnik powyższy zamknięty, a rycina 6 otwarty; ukroić na niego z popielatej nicianej kanwy 50 cent. szerokiej, a 47 cent. długiej, wyszytej w górze w odstępie 9½ cent., a z boków i w dole 2 cent. od brzegu szlakiem haftowanym podług ryc. 4, która podaje wzór wraz z narożnikiem wykonany krzyżową robotą niebieską przędzą w dwóch cieniach, zajmując 3 nitki w szersz i 3 nitki wzdłuż płóciennej kanwy. Oprócz tego wązki szlaczek zdobi jak to widzimy na rycinie 6, brzeg zostawiony na zawinięcie. Po wyhaftowaniu podszyc całość niebieską flanelą, poprzednio jednak w górze przystębnować 2 paski takiejże flaneli, z których jeden 25 cent. szeroki, a drugi na nim leżący, tylko 20 cent. szerokości mieć powinien, oba nie obrębione i nie założone nawet. Te dwa wierzchnie paski należy, jak to widzimy na ryc. 6, kilkakro-



Nr 8. Koronka do ryc. 1 w Blu. Nr 38. Zmniejszona.

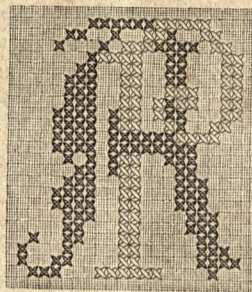


Nr 7. Szlak do ryc 8 pocztowym ścięciem. Wielkość naturalna.

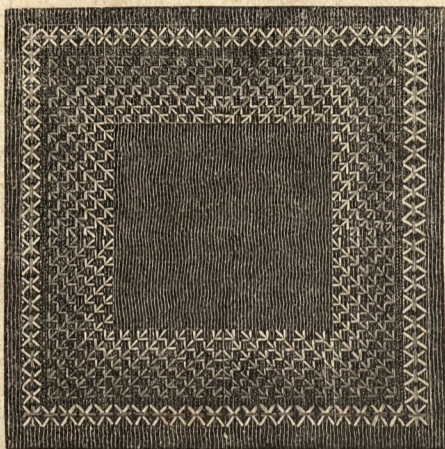


Nr 10. Szlaczek do fartuszków i t. p., robotą krzyżową i Holbeina

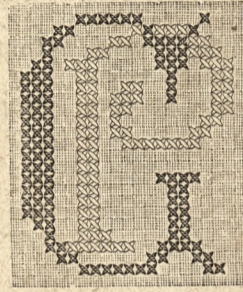
nie przystębnować wzdłuż, a w górze po jednej stronie przyszyć dwa wycięte wązki ka-



Nr 11. Znak haftowany.



Nr 8. Serwetka ścięciem pocztowym (Do ryc. 7).



Nr 12. Znak haftowany.

waleczki, na igły długie do czerowania. Następnie zawinąć igielnik w górze na 7½ cent., objąć to zagięcie, jako też cały brzeg 1½ centim. szeroką wełnianą taśmą i przyszyć z jednej strony dwie po 75 cent. długie, na w pół złożone niebieskie jedwabne wstążeczki do związania igielnika. Oddzielne przedziały są do wkładania drutów, igieł szydełkowych lub siatkowych; z boku zaś umieszczona blaszka z dziurkami różnej wielkości, służy do rozpoznania grubości igieł lub drutów.

Serwetka ścięciem pocztowym na dziurkowanym suknie.

Rycina Nr 7 i 8.

Serwetka 23 cent. szeroka, a 25 centim. długa z ciemno-szafirowego sukna, ozdobiona haftowanym szlaczkiem, w odstępie 3 c. od brzegu, na dziurkowanym materiale serwetki. Haft wykonany kolorem złotego brązu, przepołowioną filozelą w kilku cieniach, oraz jasno-niebieskim jedwabiem, ten ostatni używa się do wązkiego szlaczku, pocztowym ścięciem wykonanego. Rycina 7 przedstawia część haftu w naturalnej wielkości.

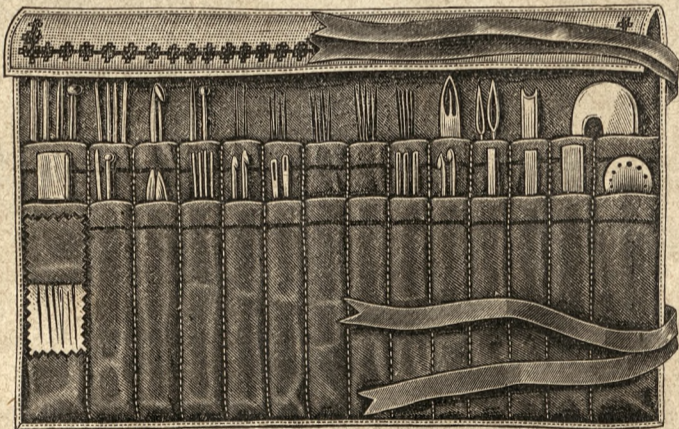
Stanik z gładkiego i w kratę materiału.

Rycina Nr 14. Krój odwr. str. tabl. Nr II, fig. 8—16.

Ukroić z popielatego wełnianego materiału w kratkę, po dopełnieniu złożenia fig. 12, podług fig. 8 i 14 po jednej części wzdłuż w całości, podług fig. 13 i 16 po dwie części z gładkiego popielatego materiału, podług fig. 9 do 12 po dwie części, podług fig. 15 jedną część wzdłuż w całości, a podług fig. 52 i 53 rękawy, po sfastrzygowaniu, wszyst-



Nr 5. Igielnik do drutowych, szydełkowych i siatkowych igieł. Zamknięty. (Do ryc. 4 i 6).



Nr 6. Igielnik do drutowych, szydełkowych i siatkowych igieł. Otwarty. (Do ryc. 4 i 5).



Nr 13. Szeroki szlak do kołdry ryc. 1 w Bl. Nr 38 krzyżową i Holbeina robotą.

kich części z podszewką, oraz podłużeniu fig. 13 do 16 sztywnym muślinem, zrobić w przodach zaszewki i połączyć plecy, boczki i przody podług liczb. Zamocować krzyżki oznaczone literą *a* fig. 11 i 12, na kropce *a* fig. 12 i podszyć kamizelkę pod lewy przód, od liczby 24 do 25 wzdłuż oznaczonej linii, prawy przód kamizelki przypina się na haftki. Po przyszyciu ranwersów (fig. 13) od liczby 38 do 39 do przodów wszyć kamizelkę od * do dwukropka w podwójny stojący kołnierz przedniej połowy, tylny zaś kołnierz przyszyć do stanika od liczby 34 do 38 i zakończyć ten ostatni na przód. Stanik zapina się na kamizelce na duże guziki. Rękawy zeszyte podług liczb, przybrane ranwersem i zmarszczone w górze wszyć w stanik.

Gorset dla panienki od 12 do 14 lat,

Rycina Nr 20 i 21
Krój pierw. str. tabl. Nr III,
fig. 17 — 22.

Na gorset z popielatego drelichu, kraje się, zwracając uwagę na kierunek nitki, podług fig. 17 do 22 po dwie części, zeszyć przody, boczki i tylne części podług liczb, wszyć pierśiowe kliniki, a w tylną część kliniki na biodrach i przystębnować na gorset podług oznaczenia paski drelichu po lewej stronie, dla usunięcia brykli i fiszbínów. Oprócz tego przyszyć do przodów i boczków podług oznaczenia, 4 cent. szerokie paski z lewej strony, przestębnować je 7 razy w jednostajnych odstępach, na podłożonych sznurkach. Objąć cały gorset w górze i w dole popielatą płócienną tasiemką, ozdobić w górze wazkim paskiem pasowego haftu i wbić metalowe kółka do sznurowadła. Ramiączka oszywa się w koło pasowym haftem, łączy od liczby 51 do 52 w górze z plecami i przyszywa w miejscu oznaczonym * do boczków. Wszystkie szwy robią się pasowemi niemi, a fiszbiny przymocowują się długimi ścięgami, takimiż niemi.

Spódnica drutową i szydełkową robotą.

Rycina Nr 24.

Wzór przedstawia spódniczkę z pasów poprzecznych, dzierganych szydełkiem z wełny naturalnej barwy, a połączonych ze sobą również włóczką czerwoną. Dolny brzeg spódnicy otacza szeroki pas dziergany również z włóczki czerwonej, z którym łączy falbanka robiona drutową robotą z wełny naturalnej. Tę falbankę zakończają pi-



Nr 15. Suknia wizytowa z jedwabnego faille w rzuć. Plecy. (Do ryc. 2).



Nr 14. Stanik z gładkiego i w kratę wełnianego materiału. Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8—16.



Nr 16. Suknia wełniana w kraty. Plecy. (Do ryc. 17).



Nr 17. Suknia wełniana w kraty. Przód. (Do ryc. 16) Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 41—54.

Nr 18. Suknia beżowa. Opis odwr. str. tabl.

koty z włóczki czerwonej. Na każdy pas, wyjąwszy przedniego środkowego, robi się na drutach, zaczynając od dolnego brzegu, na łańcuszku z 38 oczek tam i napowrót. Kolej 1 do 6 zupełnie gładko, przy każdej kolei pierwsze oczko zdjąć. Kolej 7: 6 o. gładko, 26 ocz. odwrotnie, 6 oczek gładko. Kolej 8 cała gładko. Kolej 9: 6 ocz. gład., 4 razy naprzemian: 2 ocz. odwrotnie, 6 ocz. gładko. Kolej 10: 8 ocz. gładko, 2 razy naprzemian, 6 ocz. odwrotnie, 2 ocz. gładko, dalej 6 ocz. odwrotnie, 8 oczek gładko. Kolej 11 jak 9. Powtórzyć 24 razy 6 do 11 kolei, jednak przy wykonaniu drugiej kolei 20, 22 i 24 powtórzenia, z obu stron środkowego 26 oczka, po jednym oczku spuścić, przerabiając 2 razy. Następują jeszcze 2 koleje, jak 6 i 7 kolej, przerabiając jednak 2 środkowe ocz. razem. Kolej 158: 5 oczek gładko, 3 razy naprzemian: 3 oczka odwrotnie, 3 oczka gładko; dalej 3 oczka odwr., 5 ocz. gładko. Kolej 159: 3 gład. ocz., 2 oczka odwr., 3 razy naprzemian: 3 oczka gładko, 3 ocz. odwr., 3 ocz. gładko.

Teraz następuje jeszcze 30 kolei, które się ciągle naprzemian robią jak poprzednie dwie koleje, poczem się robota zakończy. Środkowy pas robi się tym samym sposobem, jednak o 8 oczek szerzej. Dla połączenia pasów, robi się szydełkiem w jednym z pasów kolej 1: ciągle po 1 ścis. ocz. w każde brzeżne oczko. Kolej 2: Zrobić 1 ocz., zaciągnąć go o pierwsze ocz. poprzedniej kolei i dziergać 3 ocz. pow., 2 ocz. z 2 i 1 z poprzednich 3 pow. ocz., 1 ocz. z tegoż samego oczka podnieść, do którego poprzednie ocz. było przyłączone; dwa oczka z następnych 2 oczek poprzedniej kolei podnieść, a wszystkie na szydełku będące ocz. 1 oczkiem przeciągnąć i zadziernąć; dalej * 1 ocz. z poprzednio zaciągniętych 5 ocz. podnieść, 1 ocz. z tychże przybrać, z których ostatnie 5 ocz. było zrobionych, 2 ocz. z następnych 2 ocz. poprzedniej kolei podnieść, przeciągnąć 1 ocz., zadziernąć i od * powtórzyć. Kolej 3: Na oczkach poprzedniej kolei z powrotem: 1 pow. ocz. dalej ciągle 2 ścisłe oczka w oczko, którem następuje 5 ocz. poprzedniej kolei były zaciągnięte. Kolej 4: Następny pasek wziąć w rękę, zajmując z lewej strony brzeżne ocz. jednego pasa z drugim. Połączywszy wszystkie pasy tym sposobem, zostawiając w środku w tyle odpowiedni rozprek, którego oba brzegi należy obdziergać, zrobić fal-

bankę na drutach do dołu, którą się zaczyna na 32 oczkach, robiąc naprzemian 3 koleje, które z prawej strony gładko wyglądają, a 3 rzędy na wywrót; wzór zawiera 102 razy, zrobioną falbankę połączyć ze spódniczką, robiąc 1 do 3 poprzednio opisanych dzierganych kolej w brzeźne ocz. dolnego brzegu spódnicy, następnie jeszcze raz 2 i 3 kolej powtórzyć, zajmując 1 koleją 4 dzierganą koleją brzeźną falbanki, razem z ocz. poprzedniej kolei, w końcu zrobić koleją pikot. ciągle naprzemian: 3 ścis. ocz. o następne 3 brzeźne ocz., 1 pik. W górze wszyć spódnicę w podwójny pasek.

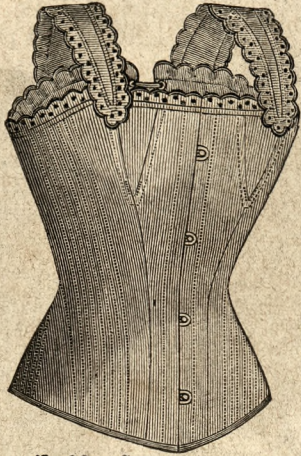
Spódnica damska drutową i szydełkową robotą.

Rycina Nr 25.

Spódnica z cienkiej białej drutowej włóczki, skła-

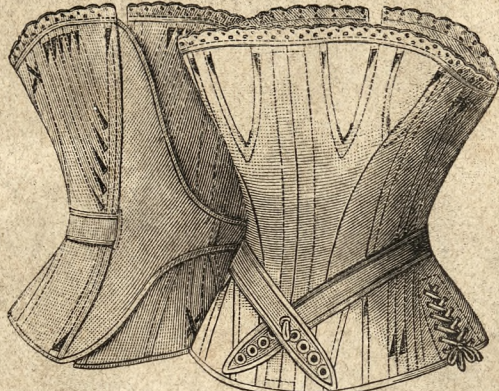


Nr 24. Spódnica drutową i szydełkową robotą.



Nr 20. Gorset dla pańienki od 12 do 14 lat. Prząd. (Do ryc. 21). Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17 — 22.

Nr 19. Płaszczk wyszywany. Prząd (Do ryc. 1).



Nr 21. Gorset dla pańienki od 12 do 14 lat. Plecy (Do ryc. 20).



Nr 25. Spódnica drutową i szydełkową robotą.

Plecy. Nr 22 i 23. Neglizowy gorset damski. Prząd. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 31 — 39

da się z 10 napoprzek robionych pasów, które kilkoma kolejami szydełkowej roboty są połączone. W dole obrobiona spódnica w koło kilkoma kolejami, do których przyszyta jest szydełkowa koronka. Górna część robiona żeberkowym deseniem na drutach, do której przszyty jest pasek ze ścis. ocz., na podszewce z białego płótna zrobiony. Każdy pas zaczyna się na 52 ocz., robiąc gładko, spuszczać i przerabiając zupełnie, jak w poprzedniej spódniczce. Koronka, którą oszyta jest spódnica w dole, robi się na łańcuszku z 9 ocz. w poprzek tam i napowrót. Można jednak zastosować w tym razie inny jaki desen tejże szerokości koronki.

Przepisy gospodarskie.

Śliwki węgierki na sposób greckich, jako sucha konfitura.

Duże i dojrzałe śliwki węgierki sparzyć wodą gorącą, obrać z łupinki, pestki powijmować, obsuszyć w wolnym piecu, potem w każdą śliwkę włożyć kawałek podłużnie ukrojonej skórki pomarańczowej, nadać palcami kształt śliwki greckiej i dosuszyć w lekkim piecu, poczem układać w puszki blaszane, przesypując cokolwiek miłym cukrem, upychać, a tak na spód puszki, jak



Nr 26. Suknia z batystu wełnianego w rzucik. Opis odwr. str. tabl.

Nr 27. Suknia z angielskiego materyału. Plecy. (Do ryc. 28 w B. Nr 38). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—7.

i na wierzch, położyć parę liści suchych z pomarańcz lub cytryn. Kilka lat konserwować się dadzą, trzymać tylko trzeba w suchym chłodnym miejscu.

Risalto po medyjołańsku.

Dwie małe białe cebulki usiekane udusić w maśle młodem, pod pokrywą tak, aby tylko żółtego nabrały koloru. Pół funta ryżu, rachując na 5 do 6 osób, odparzyć, odlać, włożyć w masło z cebulą i podlewać rosółem, gotować na wolnym ogniu, póki nie zmięknie. Wtedy wlać parę łyżek tegoż bulionu, bardzo dobrego, albo Cybilsu, ale wtedy już mniej soli, bo Cybils jest zawsze solony i mieszać, aby nie przywarł ryż do rondla. Na wydaniu włożyć łyżkę młodego masła, wsypać

odrobinę białego pieprzu i dwie łyżki tartego parmezanu, wymieszać dobrze i podać. Zamiast pieprzu można wsypać odrobinę tartej gałki muszkatołowej. Włosi lubią jadać wszystko bardzo korzennie, więc sypią i pieprz i muszkatołową gałkę.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Czarnina z kluszkami i świeżymi owocami.
2. Ryż z baraniną „piław”.
3. Cielęcina z mizerją.
4. Budyń czekoladowy.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do N-ru 38 Bluszczy.